



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Mamy tedy od zeszłego tygodnia odnowiony, przebudowany, rzec-by można najsluszniej: całkiem nowy Teatr Wielki, bo oprócz fundamentów i ścian szczytowych zmieniło się w nim całe wnętrze a zmieniło do niepoznania, jakby pod dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej.

W przeciągu kilkunastu miesięcy zburzono, wyskrobano niemal do cna wnętrzości starego gmachu, a na ich miejsce postawiono nową salę i nową scenę, nadano zupełnie odmienną fizio-
gnomię teatrowi, któremu trudno się napatrzeć nadziwić.

Publiczność wchodzi i już w przysionku na marmurowych schodach, ubranych zielonemi krzewami, zaczyna oczom swym niedowierzać, bo przecież tak niedawno cisnęła się tedy po wązkich i krętych kurrytarzach wśród nagich, bielonych zaledwie, ścian, a dzisiaj ma ozdobny, lśniący, wyświeżony *vestibule*, w którym połyskują elektryczne lampki żarowe, ma poręczę aksamitem obciągnięte i mnóstwo przestronnych, wygodnych wejść i wyjść, prowadzących do rozmaitych piątr wspaniałego gmachu.

Wchodzisz do widowni i jesteś pewny, żeś za-
błądził, bo przecież to nie Warszawa, to jakiś mały Paryż, albo Wiedeń, to nie ten nasz poczciwy, stary, natłoczony i ciężki teatr wielki, trochę brudny i zakurzony, z kłapiącymi jak pu-
kawki krzesłami, z dwiema norami zwanymi am-
fiteatrem, z wązkimi po bokach przejściami do

krzesel, w których ty deptałeś zawsze komuś po nogach, przedostając się do swego miejsca, albo tobie obfłukiwano kolana.

Nic z tego wszystkiego nie pozostało.

Na pierwszy rzut oka zdaje ci się, że ci tę dawną salę zmniejszono, że w niej jakoś ciasniej, przytulniej, ale mimo to weselej i swobodniej; spoglądasz najpierw po łóżach parterowych i pierwszego piętra, biegnących w półkoło, ozdobionych kućmi, złożonemi koronkami z żelaza, których dostarczył zakład takiego majstra w tej specyalności, jak p. Gostyński, podnosisz oczy wyżej na tak zwane krzesła balkonowe drugiego piętra, wreszcie na trzecią galerię i na czwarty paradyz i dopiero teraz spostrzegasz, że ci widzowie w górze dziwnie maleją i że sala musi być jednak wyższą od dawnej widowni.

Lekkie ornamentacye, jasne kolory, dobrze ułożone proporcey skupiają jednak pozornie i zmniejszają olbrzymie rozmiary tego wnętrza, w którym tysiąc paręset osób bardzo wygodnie pomieścić się dzisiaj może.

Trzeba dodać, że wszyscy mogą siedzieć nawet na najtańszych miejscach i nie potrzebują nad-
wierać sobie nóg na paradyzie, jak to dawniej bywało, bo każde krzesło jest numerowane; nie ten lepszy, kto pierwszy się docisnął i na trzy godziny przed rozpoczęciem widowiska tłoczył się już przed zamkniętymi dzwiami w kur-
rytarzu, — wszyscy równi.

Atmosfera widowni zyskała na czystości z po-
wodu zaprowadzenia sztucznej wymiany powie-
trza i wentylacyi, oraz skutkiem zastąpienia ga-
zowego światła elektrycznem.

W lecie ochłodzone, w zimie stosownie ogrzane powietrze dostaje się teraz zpod podłogi, wta-
czone machiną o sile dziesięciu koni, do sali; w przeciągu godziny przeszło dwa miliony stóp sześciennych przepływa go przez widownię od dołu do góry, zabierając z sobą wszelkie miaz-

mata i utrzymując stałą, znośną temperaturę, zamiast dawnej tropikalnej ciepłoty, w której, jak się dowcipnie wyraził kolega Fantazy, pączek kwiatu pomarańczowego nie tylko mógł zakwitnąć, ale i owoc wydać w regionach dawnego paradyzu.

Zresztą do używania swobodniejszego ruchu i ochładzania się urządzono dwa *foyers* na pierw-
szym i na drugim piętrze, gdzie publiczność może się przechadzać w międzyaktach, przyglądać po-
sagom wielkich artystów, gasić pragnienie lub zaspakajać początki apetytu przed kolacją w bu-
fetach, rozmawiać, flirtować, krytykować sztukę i aktorów, lub zaopatrywać się w wonne fioletki, róże i tuberozy, których sprzedaż dozwolono teraz ogrodnikowi we wnętrzu gmachu.

O ile pogoda pozwala, można korzystać z prze-
pyszego balkonu, pod kolumnadą, oddanego rów-
nież na użytek publiczności; tu się będzie w le-
cie połykało oranżadę i granito, paliło papierosy i spoglądało na Plac Teatralny.

W całej widowni akustyka jest wyborną, rów-
nież jak i optyka z każdego miejsca; jedna tyl-
ko orkiestra dla dobra sztuki i efektu musiała paść ofiarą nowego urządzenia — pogłębiono ją i schowano tak, że jej nie widać wcale i ona nie widzi nikogo, oprócz swojego dyrektora.

Dźwięki instrumentów, złane w pełniejsze akordy, wychodzą jak z krateru jakiegoś muzy-
kalnego wulkanu, w którym niewidzialne duchy grają na skrzypcach, basach, fletniach i waltor-
niach.

Członkom orkiestry nie bardzo się to podoba, ale w Beyreucie pomieszczono ich w jeszcze głę-
bszym podziemiu — i dobrze.

Wspominałem już o oryginalnej nowości, którą Teatr Wielki w Warszawie wyróżnia się obecnie chyba ze wszystkich teatrów europejskich; oto dostarcza on każdemu z widzów bezpłatnie lornetkę na przedstawienie.

Przy każdym krześle i w każdej łóży umieszczono lekkie, w aluminiowej, eleganckiej oprawie szkła, których można używać do woli pod jednym tylko warunkiem; aby je po skończonym widowisku położyć na swoim miejscu, lub oddać wóznemu przy wyjściu.

Dostawcą tych wszystkich perspektyw jest p. Felsenhardt-Skalski, któremu dyrekcyja odstępuje każdego wieczoru pięć kopiejek od każdego widza.

Podobno ma to być wcale nie złym interessem, jako przedsiębiorstwo na dwanaście lat oddane w dzierżawę p. Skalskiemu, ten zaś wywdzieczając się teatrowi, ustanowił konkurs dramatyczny z nagrodą 500 franków w złocie za napisanie sztuki spektaklowej, odegranej następnie na jednej ze stałych scen warszawskich.

Ktoby przypuszczał, że lornetkom będziemy zawdzięczać w przyszłości dwunastu laureatów i cały tuzin sztuk odznaczonych, które nagradzać ma areopag sędziów co roku zapraszanych przez dyrekcyję teatrów!..

*

*

*

W tem miejscu, zanim z widowni teatralnej przejdę za przebudowane kulisy, muszę zanotować jeszcze inny fakt, obchodzący bliżej najważniejszych łączników publiczności ze sceną, a mianowicie nasz dramaturgów, zwłaszcza komedjopisarzów.

Oto redakcyja „Kuryera Warszawskiego“ dla upamiętnienia uroczystej chwili otwarcia Teatru Wielkiego i rozpoczęcia nowego okresu w dziejach tej sceny, ogłasza również konkurs z pierwszą nagrodą w kwocie tysiąca i drugą wynoszącą pięćset rubli za napisanie sztuki, któraby wzbogaciła nasz repertuar teatralny nowym, o ile możliwości najlepszym, nabytkiem.

Tymczasem tylko tyle; bliższe warunki powtórzę w następnej pogawędce.

Termin tego konkursu, o ile słyszałem, ma być oznaczonym na Wrzesień roku przyszłego.

Panowie—„piszmy więc“!..

*

*

*

Zdaje mi się, że gdyby Szekspir za swego życia miał być tak urządzoną sceną, jak obecnie urządzoną jest scena wielka, z tą całą maszyneryą i oświetleniem, dekoracyami i aparatem zakulisowym, byłby jeszcze fantastyczniejszą arcydzieła tworzył, niżeli „Sen nocy letniej“.

Kto nie miał nigdy sposobności przypatrzenia się zblizka tym „deskom, co świat oznaczają“, niech sobie wyrobi pozwolenie zwiedzenia teraz owej drugiej połowy Teatru Wielkiego odgrodzonej kurtyną i rampami od sali widzów; niech poprosi głównego mechanika teatrów warszawskich p. Stanisława Jasieńskiego, aby go wprowadził pod scenę, do owej trzypiętrowej przepaści, wypełnionej, jak labirynt z żelaza, wiązaniami, przesłami, dźwigniami, blokami, kołami i drutami z których składa się olbrzymia maszynerya, poruszana siłą tłoków hydraulicznych.

Jeden robotnik kładzie rękę na żelaznej korbie i ze sceny zapada się ów malowany świat, znikają całe tłumy ludzi, jak widma, albo wyrastają z pod ziemi nowe gmachy, fantastyczne postacie i zmienia się w oka mgnieniu cała scenerya.

Do optycznych efektów znów służą setki lamp żarowych, które słoneczny blask rozlewają za poruszeniem palca illuminatora, albo różową barwą jutrzeńki, srebrną poświatą księżycą lub tajemniczym półcieniem wypełniają scenę.

Zapas dekoracyj do oper i baletów wystarcza na przemianę dwudziestu ośmiu wieków całkiem nowych, oprócz dawniejszych, a większość ich jest malowana z prawdziwym mistrzostwem pędzla, który budzi podziw techniczną specjalnością w wydobywaniu ludzających efektów perspektywy i plastyki.

Wszystko, co wystawę uczynić ma w całym tego słowa znaczeniu wspaniałą dla oka publiczności, zostało tu nagromadzone i przygotowane do użytku sztuki...

Dzieło budowniczego, architekta, p. Bronisława Żochowskiego upamiętni na długie lat dzieśiątki nazwisko jego, jako specjalisty który w tak krótkim przeciągu czasu tak świetnej dokonał przebudowy, tyle praktycznego zmysłu i poczucia smaku rozwinął w całym urządzeniu i ozdobieniu Teatru Wielkiego, tyle wreszcie konstrukcyjnych pokonał trudności.

Niema rzeczy doskonałych na świecie, więc zapewne jakieś drobne błędy i braki wyszpera może oko bardzo uważnego rzeczoznawcy, ale nie zdolają one zepsuć ogólnego wrażenia, jakie sprawia całość budowy, a wrażenie to jest wysoce dodatnie i estetyczne.

*

*

*

Komitet budowlany, dyrekcyja, architektci, mechanicy, rzemieślnicy, wogóle wszyscy, którzy gorliwie pracowali około dzieła przebudowy Teatru Wielkiego, skończyli swe zadanie i wywiązali się z niego z uznania godną akuracnością; teraz nadeszła pora na reżysserye i artystów.

Nowy teatr, nowa scena, nowe dekoracye i maszynerya: należałoby postarać się i o nowy repertuar, o nowego ducha i świeży zapach do sztuki, o podniesiony również poziom artystyczny, aby w tych wspaniałych ramach godny zmieścił się obraz!

W operze pałeczkę dyrektorską ujął p. Cezar Trombini, który przed laty dziesięciu stał już u pulpitu głównego kapelmistrza i zostawił po sobie najlepsze wspomnienia; Włoch z pochodzenia łączy on w sobie południowy temperament z wrodzoną muzykalnością, dowody zaś energii i znanstwa, jako kierownik tak skomplikowanego rodzaju sztuki scenicznej, jak opera, posiadać powinien — złożył już niejednokrotnie za czasów dawniejszej swej u nas działalności.

Dał je i teraz z samego początku, zaraz po swoim zamianowaniu, bo w ciągu kilku tygodni wyuczył i wystawił z udziałem włoskich solistów, panny Busi i pana Suagnez, „Królową Saby“ Goldmarcka, tęsamą „Królową Saby“, która przez całe lata wlokła się na scenę warszawską i utykała co krok, nie mogąc dojść do celu; a trzeba dodać, że zagraniczny tenor i obca primadonna poraz pierwszy dopiero w Warszawie uczyć się swoich partyi w tej operze zaczęli, pod kierunkiem dyr. Trombiniego.

Reżysseryą dramatu stanowi dziś tryumwirat złożony z pp. Kotarbińskiego, Ładnowskiego i Tatarskiewicza; podział zajęć i pracy powinien ułatwić im zadanie, które zanadto mogło ciążyć na barkach jednego tylko reżyssera.

W tej trójcy uosobiły się najpotrzebniejsze czynniki do dobrego kierownictwa artystycznego, bo inteligencya, wykształcenie, talent, doświadczone znanstwo sceny i poczucie scenicznego efektu; chodzi teraz tylko o to, aby w tej spółce równowaga i harmonia panowały jaknajdłużej.

Z przygotowań czynionych na sezon jesienny widać, że nowa reżysserya sięga do wyżyn wielkiego repertoaru; wybiera takie firmy, jak Shakespeare („Jak się wam podoba“) Byron („Manfred“), Słowacki („Marya Stuart“), oprócz autorów współczesnych, pomiędzy którymi dla swojskich talentów pierwszeństwo ma być zachowane.

Otwarcie wielkiej sceny obyło się wprawdzie bez nowości, ale w programie pomieszczono jedno z najpoważniejszych nazwisk, jakie mogły nświetnić uroczystą chwilę oddania nowego przybytku sztuce, — nazwisko J. A. Fredry; jego „Pan Benet“ reprezentował komedya oryginalną w tej grupie, która miała niejako streścić wszystkie rodzaje sztuki scenicznej, uprawiane na deskach Teatru Wielkiego.

W allegorycznym „Prologu“, którego niżej podpisany był autorem, odezwał się dramat; operę (IV-ty akt „Mefista“) wystawiono w najpiękniejszym fragmencie dzieła Boity, a balet z siarczystym mazurem i malowniczym pływaniem dużych mas na scenie, nacechował tradycją tanecznej sztuki i niewieścich wdzięków w teatrze warszawskim.

Tak złożone widowisko powtarza się obecnie w bieżącym repertuarze, ale niestety pociąga tylko publiczność w górnej połowie sali; krzesła i łoże świecą pustkami, jak za dawnych czasów w Teatrze Wielkim, a dzieje się to z dwóch przyczyn.

Przedewszystkiem to, co się nazywa „śmietanką towarzystwa“ buja jeszcze zagranicą lub korzysta z pogody na willegiaturze; tej łożowej tedy publiczności niema dotąd w Warszawie.

*

*

*

Rozpisałem się obszerniej o Teatrze Wielkim, ale jego otwarcie stanowi fakt najgłośniejszy w ostatnim tygodniu i ma znaczenie rader ważnej aktualności, od półtora roku prawie wyczekiwanej.

Pomimo rozpoczętego sezonu, który jużby jeśiennym nazwać można, nie wróciliśmy jeszcze do dawnego ruchu; to letnie *dolce far-niente* ustępuje powoli i przedłuża się na rozmaitych polach publicznego i prywatnego życia Warszawy.

Koniec kwartału rozruszał nasze pisma peryodyczne i wydawnictwa książkowe.

W prassie „rozteatrzyło się“ nadzwyczajnie z okazji otwarcia Teatru Wielkiego. „Tygodnik ilustrowany“, „Echo“, „Wędrowiec“ spełniły swój obowiązek zobrazowania tego faktu z gorliwością i nakładem niezwykłym.

Wszystkie pisma codzienne, zwłaszcza „Kuryer“ — prześcigały się w obznajamianiu swych czytelników ze szczegółami tej teatralnej uroczystości; nie dziwnego, stała ona na porządku dziennym prawie odośobniona, była na razie najgłośniejszą.

*

*

*

Spodziewane wypadki ważniejszego znaczenia zawiodły kronikarza; otwarcie nowego zakładu dla obłąkanych w Tworkach zostało odłożone, sprawa bulwarów już prawie na ukończeniu potknęła się o 400.000 rs., których p. Devars w ostatniej chwili zażądał w imieniu przedsiębiorców, jako fundusz należny im ewentualnie za uregulowanie Wisły w obrębie projektowanej dzielnicy nowej; szpital na folwarku świętokrzyskim spotkał się z opozycją higienistów, którzy utrzymują, iż ognisko wszelakich chorób i zbiornik *bacillusów* najrozmaitszych w pobliżu stacji filtrów na Koszykach nie jest sąsiedztwem bardzo bezpiecznym i właściwym ze względów zdrowotnych.

W kwestyi tedy zburzenia i przeniesienia szpitala Dzieciątka Jezus zaszła chwilowo nieprzewidziana zwłoka.

Niema więc o czem tak bardzo pisać teraz, kiedy nawet i ogródkowe teatrzyki zwinęły swe dekoracye i poszły na wędrowkę prowincjonalną, stękając po drodze i utyskując na tegoroczny sezon w Warszawie.

Mam wszelako przed sobą stos książek nowych więc pozwolę sobie przeglądać je w waszej obecności, zamiast szukania bieżących tematów bardziej zajmujących.

Dwie księgarnie nakładowe starej i uznanej firmy Gebethnera i Wolffa i młodej wznoszącej się Teodora Paprockiego, najgorliwiej pracują u nas w kierunku wydawniczym; jedna i druga puściły sporą wiązaną nowości w obieg.

Pierwsza dała nam gruby tom o 572 stronni-
cach ścisłego druku z poważnym tytułem: „Lite-
ratura Polska“; napisał ją, jako podręcznik dla
samouków, Adam Breza, mając — jak powiada w
przedmowie — „treściwe a przystępne wyłożenie
dziejów rozwoju ducha polskiego na celu i wy-
bitnych dzieł, przez ciąg wieków z ducha tego
spłodzonych“.

Jest to zamierzonej całości dopiero część
pierwsza, autor zamyka ją na wieku XVIII-ym,
przechodząc w epokę, którą zwykle historycy lite-
ratury naszej „romantyczną“ nazywają, którą on
„epoką Mickiewicza“ mianuje.

Książka ta wywoła zapewne i obszerniejsze
sprawozdania, których niepodobna uprzedzić
kilkoma słowy dorywczego sądu.

Dobry, przystępny i oryginalnie opracowany
podręcznik do historii literatury przydałby się
nam bardzo, i dlatego z pewną sympatją i wyro-
zumiałością należałoby przyjmować usiłowania
autorskie i wydawnicze w tym kierunku.

Zadanie jest ważne i dlatego powinno być po-
dejmovane z wielką rozważą.

Nader zajmującą monografią wielkiego łowcy
skreślił Alexander Rembowski w książce
o „Kazimierzu Wodzickim, jako myśliwym“. Znajdujemy tu
wyborną charakterystykę znakomitego ornitologa,
jego licznych studyów i zasług w przysparzaniu
materiału z żywej natury czerpanego.

Czyta się tę monografię, jak zajmującą po-
wieść i nabiera się ochoty do poznania wszystkich
pism Wodzickiego, który w literaturze naszej
tak odrębne zajął stanowisko przyrodnika-
felietonisty.

Nie duża, ale ciekawa i pożyteczna książka
z 23-go wydania angielskiego przełożoną została
na język polski przez p. J. K. Potockiego; auto-
rem jest John Stuart Blackie, znakomity szkocki
poeta i filolog, który przed siedemnastu laty wy-
dał właśnie dziełko p. t. „Self-culture“ („O wy-
chowaniu samego siebie“), jako poradnik dla mło-
dzieży, wskazujący jakimi środkami należy
rozwijać się fizycznie i umysłowo o własnych
siłach.

W przeciągu dziesięciu miesięcy dobra ta książ-
eczka miała pięć wydań w oryginale, co na jej
korzyść przemawia; autor, dzisiaj człowiek bar-
dzo sędziwy z własnego życiowego doświadczenia
czerpał wszystkie rady i wskazówki, dawane
młodym czytelnikom.

Belletrystyka powiększyła się ślicznym zbior-
kiem szkiców Maryi Konopnickiej p. t. „Moi
znajomi“, garścią dawniejszych „Drobiazgów“
Bolesława Prusa z czasów, gdy szlifował klej-
noci nowellistyczne i wiązańką utworów Estei,
autorki „Z Kartek życia kobiety“; wyszły tu
trzy szkice powieściowe: „Mój testament“, „Mea,
obrazek kanadyjski“ i „W sercu garbuska“. Wy-
borna obserwatorka wytwornego świata i subtel-
niejszych jego rysów zdobyła sobie szybko kre-
dyt w kółach czytelnich, więc jej nowy tomik
pójdzie zapewne szybko z rąk do rąk.

Dla szachistów przybył nowy podręcznik prze-
tłumaczony z niemieckiego oryginału K. J. S.
Portiusa przez p. Stanisława Tomaszewskiego;
drugie jego wydanie u nas jest dostatecznym
poleceniem tego katechizmu szlachetnej gry
szachowej.

Księgarnia Teodora Paprockiego i Sp. umie
dwoma rzeczami zjednywać sobie uwagę czytel-
ników: wybiera do swych wydawnictw staranne
przekłady dzieł zajmujących już z samego tytułu
i dobiera dla nich efektownie ozdobione okładki,
które rzucają się w oczy zdaleka.

Oto np młoda para w czułym uścisku, wśród
kwiatów, wyziera z medalionu na książeczce, noszą-
cej stary jak świat tytuł: „Miłość“ a jednak roz-
ciekawiający zawsze na nowo czytelnika.

Przed laty z górą trzydziestu Michelet wydał
dwie książki, które dużo mu zrobiły rozgłosu;
znakomity historyk i myśliciel, świetny stylistą,
zamknął w nich filozofię miłości i małżeństwa.

Jedną z tych książek była „L'amour“, druga
„La femme“, apoteoza miłości i kobiety. Zdaje
mi się, że to wystarcza, aby polski przekład je-
dnej z tych dzieł znalazł największe powodze-
nie u czytelników; pisał je już starzec sześćdzie-
sięcioletni, ale starzec z młodzieńczym entu-
zjazmem i wielbiciel wszystkiego co piękne
i szlachetne.

Na wzór Robidy w humorystycznym a Bella-
my'ego w poważnym stylu, jakiś Anonym nie
wiadomo w jakim języku wydał książkę p. t. „Co
w wieku 50-ym o wieku XIX-ym mówić będą“. Spolszczył ją p. Adam Nowicki. Jest ona jednym
przyczynkiem więcej do tego samo-krytycyzmu
naszego stulecia, który usiłuje spojrzeć na siebie
z jakiegoś oderwanego punktu fikcyjnej przyszło-
ści i przekonać się: dokąd dąży i dokąd dojść
może.

Anonym w duchu liberalnym i postępowym,
rozbiiera narodowość, wychowanie, formy rządu,
kobiety, miłość, socyologią i politykę, piśmien-
nictwo, sztukę i naukę naszych czasów i kończy
optymistycznym zapewnieniem, że wszystko idzie
ku lepszemu. Daj Boże!

Dwie inne książeczki na szczególną uwagę za-
sługują już z samego tytułu: pierwsza mówi „Głu-
pocie mody“, druga o „Życiu kobiety“ i o hygie-
nie kobiecego organizmu — pierwsza jest świeżą
garścią grochu rzuconego na ścianę, druga gar-
ścią zdrowych i pożytecznych ziarn, które mogą
zakiełkować z korzyścią w umyśle przyszłych żon
i matek.

Kazanie, choć bardzo przekonywające, przeciw
gorsetom, kosmetykom, pachnidłom i t. p. grze-
chom gotowalni i garderoby kobiecej będzie czy-
tane z uśmiechem politowania, albo z rumień-
cem oburzenia przeciw autorowi, który śmiał ze-
stawić swobodnie rozwinięty tułów Weneri mi-
łońskiej, z wysnuowanym tułowiem i przekształ-
conym, dzisiejszej elegantki i wykazać w ten spo-
sób całe kalectwo tej ostatniej.

Na zakończenie winienem wspomnieć o dobrze
pomyślanem wydawnictwie p. Nasiorowskiego w
Warszawie, który w małym formacie, ale staran-
nym drukiem puścił w obieg księgarski tanie praw-
dziwie edycje „Wiesława“, „Bajek“ Krasickie-
go, „Maryi“, „Ojca zadżumionych“, „Mnicha“,
„W Szwajcaryi“, „Sroczi“ (Pługa) i t. d.

Niemieckie wydawnictwo lipskiej „Universal-
Bibliotek“ Reclama, setki tysięcy egzemplarzy
rozzuca po świecie dzięki taniości; czyżbyśmy
podobnych usiłowań wydawniczych nie potrafili
poprzeć u siebie?...

*

*

*

Od kroniki sztuki i literatury muszę choć pod
koniec przejść do kroniki życia. aby zapisać
w tem miejscu tragiczny fakt, jaki się wydarzył
u nas w zeszłym tygodniu; śmierć gwałtowna,
straszna, nieubłagana przerwała w ciągu jednej
niemal doby żywot młodzieńca, rokującego naj-
świetniejsze nadzieje, jedynego syna rodziców,
chlubę i umiłowanie kolegów.

Student V-go kursu medycyny, ś. p. Leon
Rutkowski padł ofiarą swojego powołania. zara-
ziwszy się w szpitalu dziecięcym jadłem błonicy
przy opatrunku chorego dziecka i uległ zakażeniu
krwi, które spowodowało śmierć nieuniknioną.

Wienkami okrytą trumnę zaniesiono na bar-
kach do mogiły.

Quis.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Przywołano ojca, matkę, którzy w swoim po-
koju zanosili się od płaczu. Uciekli tam przed
chwilą, żeby Anielcia nie słyszała ich lamentują-
cych. Gdy przyszli teraz zaczęła się rozdierać ją,
ca scena pożegnania.

— Wyprowadź mnie — rzekł Karol do mnie
pocichu — nie mam już sił patrzeć na to. Słabo
mi.

Wziął go pod rękę i zaprowadził do jego
pokoju, gdzie zmęczony upadł na łóżko i omdlał.
Natarłem mu skronie wodą kolońską, pokropiłem
twarz, przytknąłem flaszeczkę pod nos i po ja-
kimś czasie przyszedł do siebie.

— Czy już? — spytał patrząc mi badawczo w
oczy. — Po wszystkim?

Nie umiałem mu powiedzieć, bo sam nie nie
wiedziałem.

Wtem naraz w drugim pokoju odezwał się
wielki płacz, lamenty, krzyki rozdierające, pi-
skliwe głosy dziewczątek.

— Już po wszystkim! — rzekł z przerażającym
spokojem Karol — skończyło się. Przestała cier-
pieć. Ale my biedni, co my pocniemy bez niej?
Co to było za serce złote, ile tam skarbów uczu-
cia mieściło się w tej pokrzywionej piersi! Jak
ona nas kochała, jak myślała o nas, nawet teraz
w ostatniej chwili! Czy wiesz, co ona mi szepta-
ła tam pocichu? Biedactwo, chciała mnie nawra-
cać, pracować nad zbawieniem mojej duszy. Mó-
wiła mi: Pamiętaj, że jest Bóg, że jest wieczność
i dała mi tę książkę do nabożeństwa i ten krzy-
żyk, przykazując mi, ażebym się modlił i pościł,
żebyśmy się tam, gdzieś, tem pewnie zobaczyć
mogli. Ona pocziwina miała niezachwianą wia-
rę w to spotkanie, zęgną nas tak, jakby to by-
ło gdzie na stacyi kolei; mało brakowało, żeby
mi powiedziała: a pisz. O święta naiwności! Jak-
że jej zazdroścę tego! Jak z taką wiarą musi
być lekko umierać! Ba, gdybym to ja umiał tak
modlić się, jak ona, tak płakać, jak ci tam płaczą
teraz, byłoby mi lżej tutaj. Ona biedaczka mo-
dliła się całe życie, bo całe jej życie było mo-
dlitwą.

I tu zaczął mi opowiadać różne epizody z jej
życia, które albosam widział, albo słyszał od Pio-
tra. Opowiadanie takie sprawiało mu ulgę i da-
wało na chwilę zapomnienie, że tam za drzwiami
leżą już stygnące zwłoki tej, o której z takim zapa-
łem opowiadał. Siedzieliśmy tak do późnej nocy.
Gdy odchodził, prosił żebym jutro przyszedł
znowu, że ze mną będzie mu jakoś przyjemniej,
lżej na sercu. Trudno było nie przyjąć, gdy mu
to taką ulgę sprawiało.

Poszedłem więc do niego przed wieczorem, bo
wcześniej nie mogłem.

Umarła musiała już być w trumnie, bo dużo lu-
dzi spotykałem na schodach, wchodzących i wy-
chodzących. Wszyscy żalowali pocziwnej garbuski,
na wszystkich ustał był wyraz życzliwości
i uwielbienia dla jej cnót i dobroci.

— Pan Bóg jej nie dał urody — mówiły jakieś
dwie służące w sionce, przez którą przechodziłem
do mieszkania Karola — ale jej dał złote serce
i przyjaźń ludzką; a to więcej znaczy, niż pię-
kność.

— Bo też godna była tego, żeby ją kochać,
kazała się kochać.

— Kiedyż pogrzeb?

— Podobno w sobotę.

— To ja mam podłogi wycierać i dywany trze-
pać; ale to nic; uproszę się u pani, żeby mi po-
zwoliła, bo ja muszę być na pogrzebie garbuski,
żeby tam niewiedzieć co.

Umyślnie przystanęłam, żeby przysłuchać się tej rozmowie, której proste słowa były hymnem pochwalnym dla garbuski.

Karola zastałam w łóżku, czuł się dziś znacznie słabszym i dlatego nie wstawał wcale. Jakież bóle w krzyżach mu dokuczały; skarżył mi się, że w nocy miał szalone pragnienie a nie było przy nim nikogo, ktoby mu podał szklankę wody.

— Nie mogę mieć o to do nikogo urazy. Oni wszyscy tak zmartwieni, przynębieni śmiercią. Anieli: nie dziwnego, że zapomnieli o mnie; a jednak okropnie mi było pomyśleć, że teraz nikt o mnie pamiętać nie będzie tak, jak ona pamiętała. Kiedy potem pragnienie zaczęło mi dokuczać coraz bardziej, mimowoli przez przyzwyczajenie zawołałam:

— Anieliu, bój się Boga, wody!

Kiedy usłyszałam te swoje własne słowa wśród ciszy nocnej, dziwny lęk mnie ogarnął, bałam się, żeby ona tam nie usłyszała i nie wstała — i nie weszła. Śmieszne tchórzowstwo: kochałam żywą, drogą mi jej pamięć, a bałam się duchowi jej spojrzeć w oczy. Patrzaj, jaki ja słaby i zderwowany: oto po jednej nocy gorączkowych majacek zacząłem wierzyć w duchy; bałem się, żeby nie przyszła do mnie po śmierci. I cóż powiesz? Przyszła. Nie bój się, nie patrz na mnie tak wystraszonym wzrokiem: ja nie waryat, wiem co mówię. To nie było na jawie. Przyszła ale we śnie, gdy, majacząc w gorączce, usnąłem. Śniło mi się, że wyszła do mnie z tamtego pokoju ze szklanką wody, położyła swoją, chudą, chłodną dłoń na moje rozpalone czoło i zaczęła mi mówić prędko, jakby jej się bardzo śpieszyło:

— Pamiętaj, że jest Bóg, że jest wieczność, że będziesz szczęśliwy, że my wszyscy będziemy szczęśliwi, bo Pan Bóg jest dobry i nie na to stworzył ludzi, żeby ich potem na wieki robić nieszczęśliwymi. Rozumie się, że źli muszą dostać jakąś karę, odcierpieć swoje; ale to nie na wieki.

Sen był tak wyraźny, że pamiętałem każde słowo, gdy mi się przebudził, i trudno mi było wierzyć, że to był sen tylko. Gdybym był zadowolonym, mógłbym przypuścić, że pocziwa Aniela i po śmierci jeszcze myśli o nas, że przybiegła niespokojnie do mnie aby mi przypomnieć o czem mówiła przed zgonem, że bym przypadkiem nie zapomniał. Cała ta teoria nieśmiertelności była zupełnie w jej duchu wyłożona. Anielskie jej serce nie mogło się zgodzić na wieczne potępienie. Myślałem długo w nocy o tem, jak sen wierne mi ją odworzył. I co dziwna, że we śnie to okropne pragnienie, które mnie przedtem tak męczyło, zupełnie ustąpiło; przebudziwszy się, nie czułem żadnego pragnienia. I dziwi się tu potem ludziom prostym, że mając takie złudzenie wierzą w sny, duchy i inne tym podobne głupstwa, skoro ja potrzebowałem dla wytrzeźwienia się z tych hallucynacji, przywołać całą siłę ducha, aby sobie naukowo, prawami fizjologicznymi, wytłumaczyć te niezwykle objawy. Musiałem jednak czekać dnia, aby przy jego świetle przyjść do porządku i równowagi ze swoim umysłem. Noc sprzyja obłędowi ducha.

Mówił jeszcze długo w ten sposób, starając się rozumowaniem odpędzić mary nocne, które go widocznie w dzień jeszcze prześladowały. Po chwili, aby zwrócić swe myśli na grunt realniejszy, zapytał mnie:

— Czy byłeś u niej tam?

— Nie jeszcze.

— I ja nie byłem. Nie lubię, gdy mi gawiedź uliczna zagląda do serca i gapi się na mój smutek. Pójdziemy tam wieczorem, gdy już będzie zamknięte. Podobno leży jak w ogrodzie, wśród kwiatów i zieleni. To Piotr tak jej ubrał pokój na pożegnanie. Czy wiesz, że on się w niej kochał, że chciał się z nią żenić?

— Mówiłeś mi.

— Ciotka ani się domyśla, komu ma do zawdzięczenia, że nie została na wieki starą panną, bo Piotr zrobił to tylko dla niej, chciał choć w ten sposób być zbliżonym jej sercu, należeć do jej rodziny. Nigdy nie byłbym przypuścił, że w tak prostym człowieku może być tyle uczucia. I to tak szlachetnego, tak idealnie pięknego. On

sam nie wie o tem, gdyby mu kto powiedział, że nie przestał kochać Anieli, że kochał ją ciągle mimo małżeństwa z inną, że kocha ją jeszcze nawet po śmierci, przelakłby się pewnie, poszedłby spowiadać się z tego jak z grzechu śmiertelnego, bo jego uczelwość nie pozwala człowiekowi żonatemu kochać się w innej. On to sobie nazywa pewnie inaczej, ale ja widzę dobrze, że to nie innego tylko miłość, wprawdzie poobwijana grubo w inne bibułki, jak uwielbienie bałwochwalcze szacunek, przywiązanie rodzinne ale, odwinąwszy to wszystko, zobaczyłbyś na samym spodzie serca miłość, czystą jak brylant. I co ci powiem więcej co odkryłem: że ona go także kochała. Czy uważałeś, jak drgnęła i pobladła, gdy dotknął się ustami jej twarzy? Sama przymówiła mu się o to, bo miłość jej schowana głęboko pod garbem, tak, że jej ludzkie oko dopatrzyć nie mogło, potrzebowała w końcu tego dotykającego, ziemskiego objawu. Przysnął sam, że to była niezwykła miłość i mam pewien szacunek dla siebie, że oczy mojej duszy, czy jak to chcesz nazwać, mają jeszcze tyle wrażliwości, iż musiały dopatrzyć jej wśród ciemności i upartego milczenia tych dwojga serc. Dumny jestem z tego jak astronom, gdy odkryje nową gwiazdę.

Gdy tak mówił, klucz w zamku obrócił ktoś z cichym szelestem, drzwi się powoli uchyliły i wsunęła się przez nie rubaszna twarz Piotra, uszlachetniona w tej chwili poważnym smutkiem i tem co mi niedawno o nim mówił Karol.

— Już można — szepnął cicho.

Miało to znaczyć, że pokój, gdzie leżała zmarła już zamknięty dla publiczności, i że możemy tam wejść.

Karol z trudnością zwał się z łóżka. Widziałem ile go kosztował ten wysiłek. Chciałem nawet wyperswadować mu, żeby się nie męczył i został; ale uparł się iść koniecznie.

— Jakże chcesz — mówił napół żartem — ona biedaczka fatyguje się do mnie z tamtego świata, żeby mnie zapewnić o istnieniu Boga i wieczności, a ja nie miałbym dla niej zrobić tych kilku kroków!

Wzięliśmy go więc za ręce z obu stron razem z Piotrem i zaprowadzili do zmarłej.

Leżała w istocie jak w ogrodzie. Pokój, obity całunem, pełen był oleandrów, palm, dracen, kamelii i różnych pachnących kwiatów, a wśród nich nie wysoko, na katafalku, tak, że można było ją dobrze widzieć, leżała garbuska, nie jak umarła, ale jakby uspiona, z anielskim uśmiechem zastygłym na jej białej, przezroczystej prawie twarzy. Ubrana była w powiewne białe gazy tak że nie było widać śladów jej ułomności nic, tylko białe ręce ściskające krzyżyk, i twarz, która zdawała się, bez ciała już i kształtów ludzkich, płynąć wśród obłoków. Przy różowo-żółtem migotliwym świetle gromnie doznawało się takiego uczucia, jaby usta jeno się poruszały, jakby szepem powtarzały jeszcze bratu:

— Pamiętaj, że jest Bóg, że jest wieczność.

Piotr odrazu, usadowiwszy Karola na krześle, upadł na kolana i zaczął mówić pacierz. On pocziwiec nie rozumiał innego sposobu uczczenia zmarłej, nie śmiałby patrzeć na trupa i nie modlić się. Karol przeciwnie, nie modlił się, tylko patrzył. Podniósł głowę do góry, wyciągnął szyję i wytrzeszczonymi chorobliwie oczami przypatrywał się siostrze, trzymając się mnie za rękę i ściskając ją konwulsyjnie wilgotnymi palcami.

Uroczysta cisza panowała w przybytku śmierci. Wśród ciszy słychać było szmer pacierzy kłęczącego Piotra, skwirczenie palących się świec i chrapanie kościelnego dziada, który spał w kącie.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXVII.

Awanturka, sztuka w 5 aktach, oryginalnie napisana przez *Józefa N. Popławskiego*. — **Złe towarzystwo**, sztuka w 4 aktach, *Fr. Mielnickiego*; muzyka *K. Nowackiego*. — **Za błędy rodziców**, obraz dramatyczny w 5 aktach (akt V w 2 obrazach), oryginalnie napisany przez *Władysława Dębskiego*; muzyka *K. N.* — **Roznosi-cielka chleba** (*La porteuse de pain*), dramat w 3 aktach z prologiem (w 9 odsłonach) *X. Montépia* i *A. Dornay'a*; tłumaczyła z francuskiego *H. S.* — **Górale**, sztuka ludowa w 5 aktach, ze śpiewami i tańcami, napisali wspólnie *Stefania Ulanowska* i *Alfred Szczepański*; muzyka (*sic!*) *Karola Nowackiego* (odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie imienia Żółkowskiego). — **Naręczona z Oj-cwa**, komedia chłopska w 4 aktach, ze śpiewami i tańcami, *Alfreda Dygasińskiego*, muzyka *Kornela Nowackiego*.

Teatrzyki ogródkowe rok w rok wystawiają sporo, nawet dużo, sztuk oryginalnych. I w tym roku żniwo było obfite; ale poszło przeważnie w słomę i plewy — omlót dało lichy. Nigdy może jeszcze tyle razy nie wychodziło się z przybytku muz — i Gambrynusa z taką przykrością, jak w roku obecnym. Sieczka i sieczka! Nawet p. Kościńskiemu, autorowi *Córy piekiel*, zabrakło już latoś konceptu; nawet p. Dygasińskiemu talent spozostawczy i opowiadający nie dopisał na arenie dramatycznej; nawet sztuka konkursowa, „odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Żółkowskiego“, — jak opiewał afisz dla zachęcenia ludu teatralnego — okazała się ogniem bez płomienia, wysiłkiem dobrych chęci bez skutku. Przez całe, kończące się już, lato jedno tylko nazwisko i jedna firma dramaturgii oryginalnej z pomiędzy dawniej już znanych i wypróbowanych wystąpiły na afiszach — i wysłużyły sobie powodzenie. Nowych lub świeżych jeszcze nazwisk moc — ale pod żadnym nie błyska światłość talentu, choćby dopiero w słabych rozpala-jącego się płomykach.

Gdyby przynajmniej we wszystkich i wszelakich tych sztukach było więcej sensu, mogłoby już być i mniej dramatyzmu; ale słuchać musieliśmy sztuk tak nierozsądnych, że gdyby je za symptomatyczne zjawiska uważać, jedyną ich oceną krytyczną byłaby — rozpacz. Mówiąc o nierozsądku, nie mam na myśli braku owego rozumu, architekta składowych i przez samą składowość swoją pięknych utworów, o którym mówiłem z okoliczności *Szwagrów* p. Dygasińskiego. Nie, tak wymagającym nie jestem: chcę tylko przeciętnej zdrowej logiki i przeciętnego zdrowego rozsądku w przedstawianiu spraw ludzkich na scenie. W tem oczekiwaniu przy-miotu tak niezbędnego nawet w rzemiośle, nie-tylko w sztuce, — srogiego doznawało się zawo-du. Bywały utwory tak rozwichrzzone, — że dziwić się tylko potrzeba pp. dyrektorom teatrów jak je przyjmować mogli, nie znajdując w nich ani tego, czem tłuste już same przez się swoje sztuki szpikuje jeszcze p. Kościński, ani tego, co wpada jak bomba między publiczność, stawianą, a często i stawiającą się, na równi z gawiedzią uliczną. Dlaczego żaden z tych panów, skoro już ani sam, ani z pomocą kolegów i podkomendnych swoich radzić sobie nie umie, nie uprosi kilku ludzi ze świata literacko-artystycznego Warszawy do — nierozkosznego, coprawda, — ale, w pewnej mierze także i zobowiązującego zajęcia — biegłych, oceniających: która sztuka jest już tak złą, że jej na scenę oddać nie podobna? Trudno o skromniejsze powołanie krytyczne. Takim taxatorem letniej dramaturgii warszawskiej byłoby jeszcze przyjemniej być, niż widzem sztuk wystawianych bez żadnego rozeznania: z dwojga złego lepsze zawsze mniejsze.

Sztuka p. Popławskiego, artyści teatrów prowincjonalnych, *Awanturka*, była rozsądną; ale cóż z tego, kiedy rozsądek pożyczyla sobie od

Francuzów! Trudno o większe *pasticcio* na scenie. To Sardou, to Dumas, to Feuillet lub Augier, nawet pojedyncze zdania żywcem prawie z nich pobrane. W pomysłach pożaru prześlizgiwało i *Na jedną kartę* Sienkiewicz. Całość w trzech pierwszych aktach, aż do pojedynku, dość składowa, wzbudza nawet zajęcie, tylko szkoda, że cudza, nie własna. Siedzi się na tej sztuce, jakby się było samemu intruzem: niby to swoje, a nie swoje. W p. Popławskim znać pewną wprawę, pewien smak sceniczny — ale więcej jeszcze znać dobrą pamięć, która nawet bez wiedzy, bez opatrzenia się autora, poddawała mu rzeczy niegdyś poznane, może i grane przez niego osobiście. Jest to teatr francuski zlokalizowany, z Paryża przeniesiony gdzieś na wieś polską — wieś niemająca przecież żadnego geograficznego położenia. Obyczajne sfałszowane, sfałszowana i towarzyskość. Trzeba zapomnieć, że się to dzieje u nas na wsi, i nie pytać: w jakiej dziedzinie się sferze? Od pojedynku mógłby autor widzów uwolnić. Sama awanturka niewłaściwie nazwana: jest to tylko lekkoduch kobiecy. Sztukę wystawił teatrzyk w Bellevue.

P. Franciszek Mielnicki po próbie pióra w *Nowym Thersytesie* i jakiejś innej jeszcze komedynie dyalogowej pokusił się o większą sztukę: dał 4 akty — z oberkiem i nazwał je *Złem towarzystwem*. Jest to utwór nad wyraz smutny, sprawiający przykrość krytyce, która nie umiała go ominąć. Gdy się już było na tej sztuce, nie podobna o niej zamilczeć, a mówić można tylko ze szczerem ubolewaniem nad zmarnowanymi czasem, tym największym kapitałem człowieka w życiu. Wątek wydarzeń w sztuce p. Mielnickiego jest wysoce, bo kryminalistycznie, dramatycznym: rolę bohatera gra złoczyńca fałszujący rozmaite fakta i stosunki, aby przez fałsz utrzymać najpierw niegodziwą swoją miłośćkę, a potem dojść do zyskowego małżeństwa. Kryminalistą — praktykiem, nie teoretykiem, jest Lucyan Holc; pomocnikiem jego — Karol plenipotent. Obok tych dwóch niegodziwców widzimy jedno małżeństwo, już doszłe, w którym mąż lubi niezbędne pieniądze a żona zbyteczne rozmowy, i drugie, mające dopiero dojść (Janusz i Marylka wnuczka sądziostwa), które ów potwór w ludzkiej skórze rozzerwać postanowił. Cała przygoda dramatyczna wskutek dziecinnego opracowania charakterów i kryminalistycznego pomysłu ma ten tylko sens, że dobrze niekiedy w tych czasach być dzierżawcą ziemskim, aby tak jak Rudolf zedrzeć larwę z nikczemnego oblicza. Ale i to idzie autorowi nader niegrzecznie, jak cała intryga — jak całe to, niby mieszanina piorunująca, wydecie czarnych charakterów powietrzem *ad hoc*. Najrozumnniejszą rolę w *Złem towarzystwie* mają Antek i Kachna, wieśniacy i wieśniaczki, tanczownicy i muzykanci, rozjaśniający tak ponury dramat wesołym oberkiem — i tym końcem tylko wprowadzeni do sztuki.

Mniejszą jeszcze, jeżeli to być może, wartość od *Złego towarzystwa* ma, przedstawiony również jak ono w Eldorado, obraz dramatyczny p. Dębskiego *Za błędy rodziców*. Jest on już dla tego samego gorszy, że ma pięć aktów a sześć odsłon, gdy sztuka p. Mielnickiego posiada tylko 4 akty a ani jednej odsłony. Przytem dramat z oberkiem zawsze lepszym być musi od dramatu bez oberka, z samą tylko muzyką. P. Dębski zamierzył napisać coś w rodzaju melodramatu, ale zamiar zamiast się wzbić na skrzydłach twórczości ugrzązł w jej moczarach. Autor niema żadnego powołania do dramaturgii, a nawet tytułu do przygody swojej dobrać nie umie. Sztukę swą napisał w jaknajgorszym smaku: pełno w niej posłańców, agentów policyjnych, stójkowych, szynkowni pijatyk, nieszczęść, niegodziwości, występków, wszelakich wypadków drukowanych w gazetach *petitem* — wszystkiego, tylko nie tego, czego potrzeba do wytworzenia sztuki, chociażby tylko rozsądnej. Pochwyconych kilka wyrażen z gwary ludu warszawskiego, to cały plon dodatni nowej dramaturgii. Aż dreszcz przejmie na takie ubóstwo myśli, a niezdarność pióra.

W trzecim już roku życia dostała się na scenę Teatru Letniego w d. 27 Sierpnia, jako nowość paryżkaszka Xawerego Montépina i A. Dornaya

La porteuse de pain. W Paryżu przedstawiono ją w samym początku roku 1889. Po kilkunastu przedstawieniach, przez pokrewieństwo z białymi charakterami tego 9-obrazowego dramatu, cech piekarski zakupił dla siebie całą salę Ambigu-Comique. Kto nie był piekarzem, nie mógł być tego dnia widzem: majstrowie, co przedniejsi porozsiadali się w łóżach i krzesłach, czeladnicy i drobni zaprawiający się dopiero do rzemiosła, wyżej. Sztuka miała dla siebie publiczność tak dobrą, że stary Sarcey, człowiek szczerzy a przy najmniej pozujący na szczerego — uderzył się w piersi i przyznał, że dramat nie jest tak złym, jak go po pierwszym przedstawieniu osądził. Istotnie bywają dramata gorsze, a tworzone z większym mozolem. Ten niewiele trudu kosztował p. Dornay'a, który powieść Montépina przerobić tylko potrzebował, pokrajać na sceny, obrazy, odsłony, tu dolepić palec, tam rękę, owdzie brodę lub ucho — aby z opowiadania zrobić to, co się już plastycznie przed oczyma dzieć musi.

Osnowa jest melodramatyczną. Jakób Garaud, robotnik w fabryce, aby osiąść sekret jakiegoś wynalazku, dokonanego przez pryncypała, zabija go, fabrykę jego podpala, rabuje pieniądze i ucieka do Ameryki. Po dwudziestu latach jako Paweł Harmant wraca milionerem i wdowcem z chorą tylko nerwowo rozstrojoną córką. Przez czas jego wzbogacania się, jęczy w więzieniu ofiara mordu sądowego, Joanna Fortier, ongi wyrobnica w owej spalonej fabryce. Miała dzieci — teraz wypuszczona nareszcie z więzienia widzi się samotną: wydarto jej wszystko. Biedna znajduje miejsce roznosieliarki chleba przy wielkiej piekarni, która trzyma nawet gospodę z jadem dla korzystniejszego zbytu wyrobów. W tej gospodzie bywa para cnotliwie kochających się biedaków: Lucyan Labrou, technik i Łucya, szwaczka — już narzeczeni i czekający tylko na szczęśliwą gwiazdę, aby się pobrać. Gwiazda zaczyna błyskać: malarz Castel i adwokat Darier, bywający w domu p. Harmanta, wstawiają się do jego córki, Mery, o posadę dla technika. Ale w każdym szczęściu ukryć się może żmija losu. Panna Harmant na pierwszy widok Lucyana zapłonęła gwałtowną miłością. Biedna Łucya! Przychodzi do gwałtownych scen zazdrości między milionerką a szwaczką. Nie dałoby to jeszcze melodramatu, gdyby nie zatajenie a później odkrycie rzeczywistego stanu osób składających się na sztukę, która z rodzaju swego jest najzupełniej melodramatem. Okazuje się, że roznosieliarka Eliza jest niewinnie skazaną Joanną, Łucya jej córką a adwokat Dorier małym synkiem Jerzym, z którym uciekała biedna przed pogonią po pożarze fabryki, Lucyan — synem zamordowanego fabrykanta, a dzisiejszy milioner dawnym mordercą. Piekarczycy, pobudzeni przez Castela, ongi świadka wyznania niewinności Joanny, zabierają się gorliwie do wykrycia prawdy. Przy pomocy policyj i oraz autorów — naciągających wypadki w sposób opatrnościowy — prawda wyrzra się z mroków: zbrodniarz idzie pod topór sprawiedliwości, matka odnajduje swe dzieci i cześć społeczną, jako niewinnie skazana, biedna szwaczka wychodzi za Lucyana, a bogata Mery nie mająca już po co żyć na świecie z własnymi swymi suchotami a ojcowską hańbą — umiera. Tryumf prawa, cierpienia i cnoty — hańba tylko sądom francuskim.

W melodramacie Montépina i Dornay'a najlepsze jest opowiadanie uciekającej Joanny za sprawione szczeniostwem i naiwnością dziecięcą, dalej sceny rodzajowe w piekarni, zajęcie się piekarczyków sprawą odsłonięcia łotra i wreszcie miłość dwojga młodych: technika i szwaczki. Akcją wzbogaca zaciekawiająca *mise en scène*. Patrzymy nawet na przekroje mieszkań, na zapadające się rusztowania, słuchamy jednocześnie dwóch rozmów o ścianę, przypominającą przepierzenie w *Indyannie i Charlemagne'u*. Publiczność warszawska nie słuchała wprawdzie sztuki z takim zapalem, jak owi piekarczycy w Ambigu, ale przedstawienie sprawiało jej jawną i głośną przyjemność. Co na tem miejscu dawno już przewidywano, zaczyna się ziszczać: powoli od zmysłowości komedii francuskiej zwracamy do idealizmu melodramatów.

Gra odznaczyli się: pp. Noiret jako bohaterka, p. Szymanowski jako wesoły a żały piekarzyk Cri-cri i p. Frenkiel jako Soliveau, wspólnik mordercy, trzymany przez niego na łańcuchu, aby milczał.

Spodziewaliśmy się czegoś lepszego po *Góralach*, którzy w literackich aktach stanu cywilnego nosili nazwę *Ojcowiznę*. Dwa nazwiska znane pod tytułem sztuki, kilka nazwisk głośniejszych w składzie sądu konkursowego; pierwsza nagroda — wszystko to obudzało nadzieję: sztuka je zawiodła. Niema w niej zgola dramatyczności; jest ciągle tylko, bez końca, malowanie i malowanie, a jeżeli nawet autorowie wykrzeszą gdzie jaką iskrę dramatyczną, to ognia od niej nie umieją zapalić, w sposób dla sztuki *ludowej* — dla ludu, czy o ludzie? — odpowiedni. Mam tu na myśli jedynie w sztuce dramatycznej ustosunkowanie Magdy do Florka, młodszego syna zakamieniałej, więcej niż ojcowiznę własny ówiek w głowie ceniącej, Worwiny. Jest to jakby temat miłości szalonej, tragicznej, połączony z tematem *amour libre*. Nie czujemy nawet zdrożności i lotroństw Franka pod naciskiem jego dobrego prawa do kochania tej którą sobie upatrzył, a która już do innego należy. Tragiczne, ze współczuciem opowiedziane w końcu sztuki samobójstwo Magdy, rozgrzesza ją wobec widza z lekkością obyczajów, z nieprawości sumienia, z cynizmu tej *reservatio mentalis*, na jaką sobie, przysięgając Tomkowi przed ołtarzem pozwoliła. Autorowie stają wyraźnie po stronie dwojga zakochanych, którym ludzie kochać się nie dają, a los ostateczny kochającej się pary nie jest dla nich wymiarem sprawiedliwości w czynach własnych już tkwiącej, ale nieszczęściem, spadającym jakby niezasłużenie. Matka tamująca namiętność dwudziestoletniego pędaka — ośmieszona, brat — z maki i miodu; przedstawiciele gromady wioskowej — komiczne pedanty, a wszystko jedynie w tym celu, aby Frankowi i Magdzie dać korzystny *re-poussoir*. Malowanie zresztą jest tu główną rzeczą, ztąd sztuka ma mnóstwo szczegółów dla dramatu niepotrzebnych i tylko w etnografii uprawnionych. Wysłowienie ludowe czyste, poprawne, bujne, miejscami jakby podsłuchane, śpiewki przyzwoite. Tańców zawiele, ale podobno z winy samego Wodewilu, któremu autorowie *Górali* swoich do wystawienia oddali. Zagrano ich wogóle dobrze.

Pisałem niedawno (Nr 31) o rodzącej się dramaturgii p. Dygasińskiego; mogę dziś poprzestać na ściśle przedmiotowych spostrzeżeniach. W *Narzeczonej z Ojcową* znać postęp: dwa pierwsze akty mają styl dramatu; podczas gdy w żadnym z pięciu aktów *Szwagrów* nie było go nawet na pokazanie. W trzecim akcie sztuka się łamie: ruch dramatyczny wchodzi w faceję a w niej już grzeźnie aby się już nigdy nie wydość. Taka błahostka, jak przygoda dwóch Warszawiaków z których jeden pali koperczaki do matki a drugi do córki i za to obaj najpierw wylatują z karczmy — a potem jeden wyjeżdża z reflexyami niemożliwymi na scenie, drugi zaś z twarzą wysmarowaną czarnymi jagodami — błahostka taka, mówię, wystarczała na jakiś jeden akcik dobrego humoru. Wsuwać ją na czoło sztuki, jak to autor uczynił w akcie trzecim — jest to krzywdzić dwa pierwsze akty, a przez nie i samego siebie jako twórcę dramatycznego. Bardzo dobrze idąc dalej raz obraną drogą, można było i sztukę z ożywieniem dalej poprowadzić, i wesoło zakończyć i charakterly ukształtować w pełni i wyraziści i ostatecznie napisać lepszą komedią rzeczywistą „chłopską“, od tej którą nam daje całość czterech aktów, a raczej trzech ostatnich bowiem jest całkiem niepotrzebny — chyba tylko na to, aby p. Dygasiński, po hojnym już przedtem powoływaniu się na „dobrodzieja“ poukazaniu nam figury świętoszka, ośmieszającej pobożność, mógł wprowadzić nareszcie samego proboszcza, typ dotychczas obcy scenie naszej — albo, żeby p. Nowacki miał pozór do zagrania „Kiedy ranne wstają zorze“ — w ogródku — koncept nie łąda. Krąg obyczajowy *Narzeczonej* jest, taksamo jak w *Szwagrach*, nieciekawym, mniejszym tylko promieniem zakreślony, a przez to i nie tak dojmujący dla zmysłu moralnego. Ujemne wrażenie słabnie

Przez skupienie wywołującego je żywiołu w trzech tylko postaciach: dwóch warszawiaków i Barbarę Górczynę. Ależ ta Barbara! Dobrze naszkicowana, dobrze ożywiona — udała się, ale, choć siekiera rozrąba, jednej żyłki pocziwej w niej nie znajdziesz.

Stanisław Krzemiński.

KLEMENS JUNOSZA.

„Wybór pism“ i „Obrazki szare“.

Potrzeba charakterystyki społeczeństw w formie artystycznej zrodziła literaturę nadobną, której najbardziej kunsztownym i najtrudniejszym może działem, jest nowellistyka, ukształtowana ostatecznie i rozpowszechniona we wszystkich piśmiennictwach europejskich w ostatnich dopiero czasach, gdy z jednej strony smak estetyczny ogółu znacznie się rozwinął, a z drugiej głębsze badanie natury ducha ludzkiego wykryło niezliczoną ilość najrozmaitszych jego odcieni, nieznacznych pozornie, a mimo to odegrywających bardzo ważną rolę w ogólnej charakterystyce człowieka. Nowella właśnie w poetycznej, a obok tego plastycznej formie, winna ukazać przed nami takie odcienie, taką cząstkę ducha ludzkiego; winna wypowiedzieć jakąś myśl głębszą lub jakąś prawdę ogólniejszego znaczenia. Każdy przeto prawdziwy nowellista ma przed sobą również trudne, jak i powieściopisarz, zadanie: musi być jednocześnie artystą-poetą i myślicielem głębokim, obdarzonym darem spostrzegawczym, aby mógł ze zwykłego codziennego życia jednostek, często z kilku ich pozornie nic nie znaczących wyrażań, wyciągnąć głębszą prawdę życia, odkryć jakąś charakterystyczną stronę ducha ludzkiego i, skryształizowawszy ją w piersi własnej, umiał następnie, w niewielkich stosunkowo ramach, postawić ją przed oczyma czytelnika tak, aby go nietylko zająć, ale i wzruszyć, dając w poetycznej osłonie obraz rzeczywistości.

Nowellistyka nasza liczy już spory zastęp pracowników. Zpomiedzy nich da się wyróżnić nieliczną, niestety, garstką takich, którzy wzięli z góry namaszczenie i zdolni są odpowiedzieć godnie wymaganiom tego nowego rodzaju twórczości literackiej. W tej szczupłej garstce nowellistów po kilku pierwszorzędnym postaciach, jak np. Sienkiewicz, Orzeszkowa, Konopnicka, Pruss, zajmuje wybitne miejsce popularny u nas pisarz Klemens Junosza, którego prace, drukowane luźnie po różnych czasopismach, poczęły w r. b. wychodzić peryodycznie w całkowitem, dziesięciotomowym wydaniu. W pierwszych dwóch tomach, wypuszczonych już z pod prasy, mieszczą się przeważnie krótkie nowelki lub obrazki, osnute, jak w ogóle znacznie większa część prac tego pisarza, na tle życia mieszczańskiego uboższych lub żydów.

Są to przede wszystkim niewielkie utwory, zawierające w sobie przeważnie typowe postaci z tej sfery, przedziwnie odmalowane przez autora, który okazuje się niepospolitym malarzem śmiesznośc nieukształconej natury ludzkiej. Istotą talentu Junoszy jest humor, i to humor szczery, prawdziwy, czasem może cokolwiek rubaszny, ale zawsze oryginalny i swojski. Ta właśnie cecha talentu naszego pisarza zjednała mu szybko rozgłos i stała się przyczyną jego popularności. Junosza umie chwycić śmiesznośc i ślisko ludzkie na gorącym uczynku, często w kilku słowach włożonych w usta swego bohatera, charakteryzując daną postać i przedstawiając ją w oświetleniu barwnym i w pełni właściwego charakteru. Ta zaleta zuamionuje przeważnie drobne utwory, zasługujące bardziej na miano szkiców lub obrazków, niż nowelli, jak np. *Córki pani Maciupskiej* (w I-ym tomie), *Pani z piekłem*, *Niekosztowna kuracya* lub *Lekcja tańca* (w II-gim). Bohaterowie i bohaterki powyższych

utworów są ludźmi miary przeciętnej, nie bez pewnych wad, oczywiście, ale też pod grubą częścią powłoką, pod pewną warstwą śmiesznych słabostek, nieszkodliwych zresztą nikomu, kryjącymi znaczne uczucia, które autor umie wydobywać z głębi ich dusz. Takimi postaciami są dwie córki pani Maciupskiej, szwaczki, nieumiejące wprawdzie prawidłowo napisać swego nazwiska, ale natomiast zdolne odczuć nędzę bliźniego i gotowe w każdej chwili przyjść potrzebującym z pomocą; taką jest „Pani z piekłem“, przeciętna mieszcza, niepomierne gadatliwa kobieta, która, nie mogąc ani chwili wytrwać w milczeniu, rozmawia z psem w braku ludzi, a przy swej gadatliwości ma najpocziwsze serce i nigdy o nikim źle się nie odezwie, bo zwykła w ludziach upatrywać tylko same dodatnie strony; takim jest wreszcie staruszek, dosługujący się emerytury urzędnik, którego rozmowa z żoną, a następnie lekcyja tańca, dana siostrzeńcowi i ożywienie się pod wpływem wspomnień przeszłości wybornie są skreślone.

Do rzędu utworów o większych rozmiarach należą *Dzieci pana radcy*, rzecz mniejszej wartości, widocznie dzieło talentu obracającego się nierównie swobodniej w sferach małymieszczańskich, i *Nieruchomość N-r 000*, z tych właśnie sfer wzięta, a stanowiąca jedną z lepszych prac Junoszy, ze względu na świetnie wykonany wizerunek kilku typowych postaci ze sfery mieszczańskiej, między którymi przednie miejsce zajmuje Faramużiński, służący za oś całego opowiadania. Takie typy, jak stary kawaler, właściciel kamieniczki na Starem Mieście w Warszawie, Faramużiński, rzadko już dziś napotykamy; są to ludzie zdolni do wielkiej, głębokiej, acz cichej, rzadko silniejszym ogniem wybuchającej, miłości, a temsamem zdolni przez nią do wielkich ofiar; ludzie, którzy zapominają o sobie i żyją tylko uczuciem ku ukochanej istocie, uczuciem, które, ogarnawszy całe ich jestestwo, staje się naturalną częścią jego, rzekłbym, warunkiem życia. W nowellistycie naszej, jak może i w życiu samem, takich Faramużińskich znajdziemy bardzo mało, a nikt podobno, oprócz Kraszewskiego, nie umiał wyzyskać dotychczas tak wiernie tej ze wszech miar sympatycznej postaci, nie odmalował jej tak plastycznie i tak pociągająco, jak Junosza w swym niewielkim stosunkowo obrazku.

Nowelle autora *Nieruchomości N-r 000* posiadają niemałe zalety artystyczne; są to jednakże utwory, nie wychodzące poza granice zwykłego malarstwa rodzajowego. Naprawdę pragnęlibyśmy znaleźć w nich jakąś postać o niepowszednich zarysach lub jakąś myśl głębszego znaczenia: Junosza występuje w nich jako wyborny wprawdzie malarz, ale tylko powszednich charakterów i zwyczajnych, komicznych zwłaszcza, stron człowieka, nie schodząc do głębin ducha ludzkiego i nie występując za obręb codziennych stosunków przeciętnego szlachcica, mieszczańca lub żyda. Dopiero niektóre z ostatnich prac jego, naciągnięte na obszerniejsze ramy powieściowe zaznaczają nowy zwrot w rozwoju twórczości autora, co da się już zauważyć w wydanych przed rokiem *Obrazkach szarych*, w których oprócz trzech drobnych utworów znajdujemy i dwie obszerniejsze nowelle: *Po burzy* i *Sukcesyja po Gozdawach*.

Pierwsza z nich opowiada dzieje młodej dziewczyny, rzucanej po śmierci ojca i zupełnem rozbiciu majątkowem w świat i zmuszonej z własnej pracy utrzymywać siebie i matkę wraz z młodszą siostrą. Przybywszy poraz pierwszy do Warszawy w celu szukania zajęcia, bohaterka nowelli, Zofia, za pośrednictwem biura nauczycielskiego dostaje posadę na prowincyi przy dzieciach w zamożnym domu państwa Kramarzewskich, gdzie z początku, dla swej łagodności i umiejętności obchodzenia się z dziećmi, doznaje jaknajlepszego przyjęcia. Los jednakże niedługo sprzyjał młodej dziewczynie: w domu p. Kramarzewskich bywał częstym gościem blizki ich sąsiad, bogaty wdowiec Józef Kamiński, niegdyś serdeczny przyjaciel ojca Zofii, z którą zabrał był znajomość przypadkowo jeszcze podczas jej podróży do Warszawy, a, przejawy się szczerze

jej losem, postanowił czuwać nad nią i w razie potrzeby przychodzić jej z pomocą. Na Kamińskiego nieobojętnem patrzała okiem siostra Kramarzewskiej, starzejąca się panna, która, widząc żywe zainteresowanie się jego ubogą nauczycielką i względy jej okazywane, poczęła patrzeć na nią jako na niebezpieczną rywalkę, której bądźco bądź pozbyć się należało. Użyła więc wszelkich sposobów podstępnych, aby wrogo przeciw niej usposobić siostrę, i celu swego dopięła z łatwością. Zofii wymówiono wkrótce miejsce i biedna dziewczyna zmuszona była znów szukać posady, którą nadspodziewanie łatwo znalazła w domu bogatego finansisty w Kaliszu. Kamiński, nie pierwszej młodości, uczul był na widok Zofii żywsze bicie serca, i teraz, za pośrednictwem swej siostry oświadczając się o jej rękę, chcąc zapewnić troskliwą opiekę dzieciom swym z pierwszej żony, a obok tego raz położyć kres ciągłej tułaczce córki swego przyjaciela. Jednakże Zofia nadspodziewanie odmawia — odmawia, bo serce jej zajęte jest przez kogo innego już oddawna. Ten ktoś z początku pisywał do niej listy długie i serdeczne, stopniowo jednak chłodził w swych uczuciach i w końcu doniósł narzeczonej o małżeństwie swem z bogatą wdową po kupcu. Jednocześnie z tą wiadomością dowiedziała się Zofia o śmierci matki i pod wpływem tych dwóch ciosów zapadła w długą i ciężką chorobę. Jasny promień pada w ten mrok: przez cały czas choroby Zofia znajduje serdeczną rodzinną opiekę w domu siostry Kamińskiego, a po przyjsciu do zdrowia oddaje mu swą rękę.

Tytuł powiastki następcza przypuszczenie, że właściwie ma on być wizerunkiem jednego z licznych smutnych epizodów w życiu wielu jednostek, postawionych naraz wśród nowych i ciężkich warunków. Przyjrawszy się jej jednak bliżej, utrzymać się w tem mniemaniu dłużej nie możemy, gdyż ani główna bohaterka, ani otaczające ją osoby założeniu takiemu żadną miarą zadość uczynić nie mogą. Zapasów z życiem młodej dziewczyny nie widzimy tu wcale; wprawdzie cierpi ona, roztawszy się z rodziną, narażona jest na różne nieprzyjemności w domu Kramarzewskich, wreszcie boleje po stracie narzeczonego i matki, ale są to cierpienia ogólniejszego charakteru, niedające jeszcze pojęcia o skutkach zmiany warunków społecznych. Z jaką natomiast łatwością znajduje raz i drugi posadę nauczycielki, będąc zupełnie nieznana, nie posiadając przytem, ani umiejętności życia, ani większego zasobu energii, ani żadnych zresztą kwalifikacyi w zawodzie, któremu się poświęca! Samo opowiadanie może być dość zajmującym — nie przeczę. Ale słusznie wymagamy obecnie od współczesnej powieści, nowelli, a nawet chociażby i obrazka, czegoś więcej jeszcze. Wymagamy możliwie dokładnego wizerunku jednostek lub idei, nurtujących w danej chwili społeczeństwo — a takiej charakterystyki w nowelli *Po burzy* zgoła niema. Natomiast niektóre epizody, te mianowicie, gdzie autor wkracza w sferę właściwą dla swego talentu, nie pozbawione są większej wartości, jak np. opowiadanie starej mieszczi przed Kamińskim i jego siostrą o pobyście Zofii u niej, lub wyborna charakterystyka panny Franciszki, usiłującej oczernić nauczycielkę i temsamem uniemożliwić dłuższy jej pobyt u Kramarzewskich. Nieliczne te urywki dowodzą tylko, że autor nierównie swobodniej obraca się w tych sferach, które dotychczas w drobnych swych utworach tak doskonale malował.

O wiele wyżej stoi pod każdym względem druga większych rozmiarów nowella, w tym zbiorze umieszczona p. t. *Sukcesyja po Gozdawach*. Pustelnia, cicha, niewielka wioska, położona w jednym z tych zakątków kraju, dokąd nigdy żaden głos ze świata ucywilizowanego nie dochodził, była zdawien dawna własnością Gozdawów. Jednym z właścicieli jej ongi był Wawrzyniec Gozdawa, potem syn jego Piotr, a na koniec ostatni w prostej linii potomek, zmarły bezdzietnie wnuk Wawrzyńca Jan, po którym Pustelnia przeszła drogą spadku na ubogiego kancelistę Leonarda, krewnego Jana po kądzieli. Wychowany w murach wielkiego miasta, nowy dzieł, przybywszy poraz pierwszy do tego zakątka dla

objęcia sukcesyi, dziwnego doznał wrażenia. Z jednej strony cisza bezwzględna, niemająca żadnym gwarem wielkomięjskim życie wśród natury i ludzi prostych, wreszcie poetyczne podania, przywiązane do miejscowości — zajęły go bardzo i miały dla niego wielki urok nowości; z drugiej atoli strony taka pusta lesista okolica i brak wszelkiej komunikacji łatwiejszej ze światem cywilizowanym przerażały go niemało. Leonard wahał się: czy pozostać tu nazawsze, czy też coprędzej, załatwiwszy interessa, wracać do miasta? Wahanie się to jednakże trwało bardzo krótko. Młody spadkobierca zaraz na wstępie od zarządzającej majątkiem od czasu jego przybycia, starej krewnej Gozdawów, otrzymał klucz od lamusa, gdzie miała się znajdować właściwa i najważniejsza sukcesya po Gozdawach. Leonard ku wielkiemu zdumieniu swemu znalazł tam dużą trumnę dębową, na której oprócz krzyża był jakiś napis, poprawiany kilka razy. Pierwotny napis brzmiał: „Laurentius Gozdawa obiit A. D.....“ Widocznie więc trumna dla jego przodka Wawrzyńca była przeznaczona; następnie imię to było przekreślone, a nad niem odmiennym charakterem napisano „Petrus“; nakoniec i to imię inna jakaś ręka przekreśliła i napisała natomiast „Johannes“ to ostatnie było już nietknięte.

We wnętrzu trumny znajdował się zapieczetowany zwój poślizgłych ze starości papierów, w których obok *Dziejów zacnego rodu Gozdawów* i różnych wiadomości o sprawach majątkowych Leonard znalazł rozwiązanie zagadki, dotyczącej się trumny i przekreślanych na niej napisów. Oto, co na osobnym arkuszu pisze najpierw Wawrzyniec Gozdawa: „Ja, Wawrzyniec Gozdawa z Pustelni, na potrzebę pospolitą wychodząc, zkaż moc Bozka i wola może mnie zdrowym powrócić albo i nie powrócić, to synowi memu przykazuję: że jeżeli wyroki Przedwiecznego dadzą mi kiedy żywym i zdrowym pod strzechę własną się dostać i pod nią żywota dokonać, iżby tedy przereczony syn Piotr grzeszne ciało moje w trumnie dębowej, w lamusie stojącej, pogrzebać kazał. Gdybym zaś gdzieindziej głowę położył, niech syn mój Piotr trumnę takową dla siebie zachowa“. Pod temi wierszami był drugi krótki, jakby w pośpiechu skreślony dopisek Piotra: „P. S. Podobało się Najwyższemu, że rodzic mój Wawrzyniec chwalebna śmiercią zginął. Opuszczając progi domowe, a nie wiedząc, azali je kiedykolwiek obaczę, synowi memu Janowi trumnę ojcowską przekazuję i albo ja w niej legnę za powrotem, albo-li, gdy nie wrócę, syn mój Jan“. Trzeci i ostatni przypisek położył Jan, w rzewnej acz niewykintnej strofocie wierszowej, żegnając swoją ukochaną; pod wierszykiem było zakończenie prozą: Kto weźmie po mnie ojcowskie dziedzictwo, nie wiem; ale błogosławię mu i życzę niech będzie szczęśliwy i niech dożyje lat późnych, a po najdłuższym życiu niech zabierze z sobą tę nieszczęsną trumnę na cmentarz“.

Przeczytawszy ten stary dokument, pisany ręką trzech kolejno po sobie następujących właścicieli trumny, z których żadnemu losy nie pozwoliły w niej spocząć, Leonard postanowił pozostać i sukcesyą po Janie Gozdawie zachować dla siebie. Odtąd dla naszego bohatera rozpoczęło się nowe, ciężkie może nieraz, ale mimo to niepozbawione wielkiego uroku i wielkiej doniosłości życie, pędzone w ciągłej pracy około roli, a osładzane towarzystwem zacnej i pracowitej żony, potem zaś i szczebiotaniem synka maleńkiego. Po upływie lat kilku Leonard owdowiał. Pozostał sam ze smutkiem głębokim w sercu i część swej miłości zlał na syna, dla którego pracuje, aby kiedyś oddać mu całą sukcesyą po Gozdawach, z wyjątkiem trumny, dla siebie samego przeznaczonej.

Śmiało można powiedzieć, że *Sukcesya po Gozdawach* jest jedną z najlepszych i najpiękniejszych prac Junoszy. Obok pobieżnie wprowadzone, ale dość wyraziście skreślonych, w bardzo sympatycznych barwach, postaci samego bohatera, swobodnego dziewczęcia wiejskiego, a przyszłej jego żony, starego sługi Szymona, żyda Jojny i starej

ochmistrzyni, dał nam autor kilka niezmiernie wdzięcznych obrazków z natury i życia wiejskiego, co razem wzięte składa się na całość pełną prawdziwego piękna. Myśl prawdziwa, odziana w formę niezmiernie poetyczną i uwydatniona w oryginalnym a pięknym pomysły artystycznym, podnosi bardzo znaczenie nowelli i może służyć w tym razie za dowód, że każdy prawdziwy talent nawet przy najbardziej już wyzyskanym temacie zdoła odnaleźć swą własną oryginalną formę i na niej piętno swej właściwości odcisnąć.

Trzy inne drobne utwory, wypełniające resztę tomu *Obrazków szarych*, p. t. *Pokój przy rodzinie*, *Cud na kirkucie* i *Nie odchódź* nie różnią się niczem od tych drobnostek, które zajmują dwa pierwsze tomy całkowitego wydania dzieł Junoszy. Pierwszy z tych obrazków opowiada komiczne przygody kawalera, mieszkającego przy rodzinie a stęsknionego do rodzinnego życia, drugi zawiera rozmowę z żydem, również w tonie humorystycznym utrzymaną, nakoniec trzeci jest naszkicowanym zlekka wizerunkiem kobiety obłąkanej, którą o utratę zmysłów przypawiło wyjście za mąż — za Niemca jedynej jej ukochanej córki.

J. Nitowski.

JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH MIESZKAŃCÓW

W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

(Dokończenie).

VII.

W noc ciemną, podczas drobnego deszczu, przy zimnym wietrze, wrócił Janek do Mrozów. Wyśiadłszy z wagonu, skierował się w las — do matki, do domu.

A śpieszno mu było. Nareszcie stanął przed zagrodą, ale żadne światło go nie powitało z jej wnętrza.

Nawet i pies, zwykle tak czujny, nie wyszedł na jego spotkanie.

Zapukał do drzwi: nikt nie otwierał.

Zawołał na małą Zochnę — i znów cisza. Wołał na matkę, wreszcie jął pukać do okien.

Wtedy odezwał się głos mężki ze środka:

— A kto tam?

— Ja!

— Co za ja?!

— Jan — gajowy!

— Jaki gajowy? — ja tu jestem gajowym!

Mówiący przybliżył się do okna.

Jan trochę zniecierpliwiony zawołał:

— Otwórzcie — chcę wejść do mieszkania!

— Nie otworzę nikomu. Ja tu gospodarzem i nie przyjmę nikogo, i to jeszcze w nocy!

— Ależ, kto wy jesteście? Kto was tu wpuścił?

— Już wam powiedziałem, że tu gajowym i pan leśniczy mnie tu wprowadził. A wy kto?

— To ja przecie jestem tu gajowym! Co to ma znaczyć?

— A to wy coście uciekli ztąd! — Niema już dla was miejsca. Idźcie sobie z Bogiem.

O biedny ja, biedny!

— A gdzie matka moja?

— Matka wasza? — To nie wiecie, że już dwa tygodnie temu jak umarła i wynieśli ją, i rzeczy wasze zabrali do wsi. Teraz już wiecie wszystko. Z Bogiem!

Jan osłupiał, odstąpił, ale wrócił zaraz do okna, i zawołał błagalnym głosem:

— Jeżeli wierzycie w Boga, człowiecze, powiedzcie mi prawdę!!

Wewnątrz zabłysło światło i drzwi się otworzyły.

— Przekonajcie się sami, że tu niema nikogo więcej, prócz mnie.

Jan wszedł i przeszukał cały dom z nowym gajowym, który świecił lampką. Zrozpaczony nie rzekł ani słowa i szalonym pędem wybiegł z chaty.

W lesie wicher huczał i deszcz padał coraz większy.

Jan biegł drogą naoslep. Nie czuł zimna, nie czuł zawiei ani flagi, nie wiedział, co robi.

Gdy wyszedł na drogę wiodącą ku stacyi, zatrzymał się, popatrzał na światła kolejowe i przeszedł na drugą stronę drogi, do przeciwnego lasu.

Zwolnił kroku — bądź z powodu zmęczenia, bądź też, że się trochę uspokoił. Szedł wolniej, coraz wolniej, aż znalazł się w miejscu tak dobrze sobie znanem, w Justynówce.

Tu zatrzymał się i siadłszy na kanapce, długo pozostał tak nieruchomy. Zdjął wreszcie czapkę i złożył ręce jak do modlitwy.

Żyły kręciły mu się w oczach.

Usiadł na ziemi, położył głowę na kanapce i szlochał jak małe dziecko.

Gdyby znalazł teraz słowa pociechy, gdyby mu ktoś przemówił do serca i umocnił go słowem Bożem, a podał mu zbawienną rękę wskazując nieograniczoną miłość Zbawiciela, opamiętałby się i rozpoczął nowe życie.

Lecz nikt nie wiedział o tym nieszczęśliwym, który, miotany najokropniejszymi wzruszeniami rozpacz, bólu, zemsty, nie miał nic, coby go przywiązywało do życia, coby mu wytknęło nową w niem drogę.

Wicher huczał wciąż nad głową. Z trzaskiem spadały obłamane z drzew suche gałęzie.

Ciemność zupełna ogarniała nieszczęśliwego.

Nareszcie wstał i obejrzał się na wszystkie strony.

Wydał dziki okrzyk i rozpoczął dzieło zniszczenia.

Rozrzucił kanapkę i z ziemią zrównał, wyrwał stolik, połamał go na kawałki i porzucił na wszystkie strony.

Macał dokoła siebie: czy niema już nic, coby zburzyć było potrzeba, dosięgnął ręką świerku i, poznając wryte w korze litery, wydobył nóż z kieszeni i obłupał pień z kory.

Kiedy już tu nie było co dalej niszczyć, obłamywał gałęzie, tak wysoko, jak tylko mógł sięgnąć.

Po chwili zaprzestał roboty.

Wydobył zapalki; były przemokłe: nie zapaliły się, odrzucił je więc z gniewem.

Zdaleka usłyszał turkot zbliżającego się pociagu.

Rzucił śpiesznie to miejsce, tego niemego świadka największego szczęścia i najwyższej zarazem rozpacz, i biegł tą samą drogą, którą na kilka miesięcy przedtem niósł na ramionach swoich kobietę, co, zamiast podnieść go moralnie, przez nierozważne postępowanie sama popchnęła go do upadku.

Nazajutrz po ślubie państwo młodzi, w podróży poślubnej, siedząc w wagonie, przypadkowo między innymi rzeczami w torbie podróżnej znaleźli ostatni numer „Kuryera“.

Młodziutka, promieniejąca szczęściem mężatka bezwiednie prawie zaczęła czytać.

Naraz zbladła, i wyraz przerażenia wystąpił na drobnej twarzyczce.

Małżonek uspakajał ją pieszczotami, lecz zaniepokojony, przejrzał gazetę, szukając przyczyny wzruszenia.

Oto co stało w „Kuryerze“:

„Cudowne ocalenie. W pobliżu stacyi Mrozy p. K. dzierżawca folwarku Rudnik, w nocy z wtorku na środę, wracając bryczką do domu, zatrzymać się musiał przed plantem kolejowym gdyż właśnie nadchodził pociąg. Po jego przejściu, zanim baryery zamykające drogę odsunięto,

p. K. usłyszał w pobliżu jęki ludzkie. Idąc za tym odgłosem, znalazł człowieka leżącego pod samym plantem. Przy pomocy stangreta podniósł jęczącego z bólu i zabrał go do Rudnika.

„Jak się pokazało, nieszczęśliwym był Jan M., wydany ze służby gajowy, który w zamiarze samobójstwa chciał się rzucić pod koła pędzącego pociągu, ale lokomotywa odtrąciła go na bok. Pomijając silne uderzenie w lewe ramię, był gajowy wyszedł z niebezpieczeństwa cało.

„P. K. ulitował się nad niedoszłym samobójcą i zatrzymał go u siebie do pomocy przy gospodarstwie“.

ZE ŚWIATA.

— Uczony niemiecki, Dr. Brückner, ogłasza w świeżo wydanym dziele swoim nową teorię klimatologii ziemi. Według jego badań ziemia przebywa kolejno dwudziesto-pięcioletnie okresy wilgoci i sceny. Europa zachodnia i wschodnia część Ameryki Północnej otrzymują w okresie wilgotnym pięćdziesiąt do sześćdziesięciu razy więcej wody, spadającej w deszczu, niżeli w okresie suchym. Obecnie przebywamy od 1870 r. okres wilgotny i ztąd, obok innych tego skutków, okolice nadmorskie mają złe zbiory, gdy natomiast kraje położone w głębi lądu cieszą się wielkimi urodzajami. Koniec naszego stulecia i dwadzieścia pięć lat XX-go wieku będą peryodem suchym, o 20% mniej wilgotnym, niżeli bieżący.

— W Siedmiogrodzie, w okolicy jeziora S-tej Anny, wznosi się góra, mająca 1.140 metrów wysokości, otoczona lasami. Krajobraz cały przedstawia się bardzo dziko, góra nosi nazwę: „Góry Śmierdzącej“, mieści bowiem we wnętrzu swoim wysoką, obszerną jaskinię, z której wydobywa się silny gaz, od którego otrzymała ona nazwę „Jaskini siarczanej“. Gaz ten jest zabójczym; psy i w ogóle wszystkie zwierzęta uciekają od jaskini instynktownie; ludzie, wchodząc tu, uczuwają przyjemne lechtanie w nogach, przeciw dwadzieścia pięć mogił samobójców, czy lekkomyślnych śmiarków, którzy tu zaginęli w przeciągu ostatnich lat dwunastu, ostrzegając wędrowców o niebezpieczeństwie. Na północ od „jaskini siarczanej“ znajduje się jaskinia zwana „morderczą“ gdyż ptaki, chcące się gnieździć w pobliżu padają martwe natychmiast. Jaskinia ta zawałiła się o tyle w 1802 roku, że miejsce do niej stało się niedostępnem, przeciw działaniu jej wyziewów niemniej śmierć roznosi. W połowie zeszłego miesiąca młoda pisarka węgierska, Anna Tutsch, zwiedzając okolice tamtejsze padła bez zmysłów, uderzona przez trujące gazy jaskini, do której otworu zbliżyła się z nadto. Wywiązała się z tego ciężka choroba, grożąca dotąd śmiercią.

— W Anglii, w warsztatach Creyfordu, budują blizki już ukończenia przyrząd do latania, pomysłu Włocha, Massimo. Przyrząd ten wprawiać ma w ruch śruba, dająca 2.500 obrotów na minutę, motorem jest maszyna, działająca za pomocą nafty a ważąca 2.000 funtów, zdolna podźwignąć ciężar wynoszący 400.000 funtów. Do utrzymania go w powietrzu służyć ma aparat, podobny do zabawki dziecięcej — papierowego smoka, który tu musi być przeciw z innego materiału i olbrzymich rozmiarów: 100 stóp długości a 40

szerokości. Cały ten okręt powietrzny ma ważyć 1.200 funtów i zawiera pomieszczenie dla pasażerów i ich pakunków, lub też dla towarów do 720 pudów wagi. Dzienniki angielskie podają tę wiadomość, a wraz z nią i opis nowego przyrządu.

— Komunikacja telegraficzna między Anglią a Niemcami wzmoże się wkrótce. Dotychczas służyły do tego dwie poczwórne linie podwodne, jedna angielska, druga niemiecka, lecz obecnie ilość depesz tak się zwiększyła, ponieważ Austria i całe Bałkany zaczęły się posługiwać tą linią, że postanowiono przeciągnąć nową linią między Emden a Bacton. Koszta, wynoszące dwa miliony marek, ponoszą w połowie Niemcy i Anglia. Długość liny wynosi 440 kilometrów. Jednocześnie przeprowadzoną będzie druga linia podwodna między Wilhelmshaven a Helgolandem. Można powiedzieć, że człowiek opanował przestrzeń.

— Najwyższy pomnik na świecie wznosi się w Pemoncie na górze Mont-Cenis i panuje po nad wszystkimi wyniosłościami, które go otaczają. Mieszkańcy piemontskiego miasta Suza, wnieśli go na najwyższą strzelającą skalistym cyplu góry, zwaną „Rocca Melona“, stawiając tam na granitowej podstawie popiersie króla Wiktora Emmanuela niezapomnianie wdzięcznej dla Włoch pamięci *Re Liberatore*. Szczyt „Rocca Melone“ wznosi się na 3.545 metrów nad poziom morza.

— Most przez Bosfor, zwany „Hamidieh“, łączący wkrótce Azję z Europą, jak donoszą z Konstantynopola, myśl tę podjęli francuzcy i belgijscy kapitaliści i powołano już inżynierów do rozpatrzenia: jakie mogą być koszta budowy i długość czasu, który ona zajmie?

— Kolej żelazną, prowadzącą od wybrzeży Afryki do jeziora Wiktorya-Nyanza, budować będą Anglicy według zobowiązania, przyjętego na konferencji bruxelskiej. Długość linii ma wynosić 530 mil geograficznych, pierwsza jej część, długa na mil trzysta, nie przedstawia szczególnych trudności technicznych, lecz odtąd nagły spadek terenu wytwarza te trudności w stopniu takim, że przedsięwzięcie staje się najtrudniejszą z dokonanych dotąd prac inżynierskich. Kolej tę budować będzie rząd angielski, jeżeli parlament zgodzi się na to; w przeciwnym razie podejmie go Angielskie Towarzystwo Wschodnio-Afrykańskie; Sachara zostanie zatem zwyciężoną, bo człowiek biały dostanie się do jej serca.

— Wieża babilońska, leżąca w gruzach od wielu wieków, została w tych czasach ozdobiona statua Matki Boskiej. Poświęcał ją jeszcze Pius IX-ty, lecz dopiero obecnie ustawił ją tam własnem a niełatwem staraniem missyonarz z zakonu Karmelitów. Obrzęd odsłonięcia odbył się bardzo uroczysto przy licznej zgromadzeniu ludności muzułmańskiej. Z ośmiu pięter wieży, jak stwierdziły badania storozynników, pozostały tylko widoczne dla oka, a wysokie na 80 metrów dwa piętra. Podstawa wieży obejmuje 154 metry kwadratowe.

— Z sieci telegraficznej, krzyżującej się wśród przestrzeni Europy, najwięcej przypada na posiadanie Niemców, do nich bowiem należy 334.084 kilometrów drutu państwowego i 74.898 kilometrów drutu kolejowego. Stacji telegraficznych znajduje się ogółem w Niemczech 16.408, Anglia posiada 278.234 kilometrów drutu państwowego i 27.709 kilometrów kolejowego, obok 7.352 stacji. We Francji sieć telegraficzna państwa ma 281.764 kil. drutu i 6.086 stacji ko-

lejowych, stacji telegraficznych jest 3.412. We Włoszech drut państwowy wynosi 99.122 kil. kolejowy 31.096 kil. i 31.091 kil. kolejowego. Austria posiada 73.004 kil. drutu państwa. 3.065 kil. kolejowego i 3.646 stacji. Węgry liczą 47.919 kil. drutu państwowego, 23.431 kolejowego, lecz stacji tylko 1.702. Hiszpania ma 54.029 kil. drutu, 998 stacji, Turcja 50.195 kil. i 529 stacji.

— W Ameryce Północnej, na wybrzeżu Oceanu Wielkiego wznosi się góra 2.000 metrów wysoka, a przedstawiająca szczególne zjawisko natury. Nosi ona od najdawniejszych czasów nazwę „Góry wędrującej“, dane jej jeszcze przez Indian, a które przyjęli następnie europejcy przybysze, przekazawszy je dzisiejszym Amerykanom. Góra ta: *Traveling Mountain*, posuwa się stale naprzód, jakkolwiek niezmiernie powoli, a raczej osuwa się wyżej położonego gruntu w dolinę rzeki Kolumbii. Okrywa ją pyszna roślinność, lecz prastary, wspaniały las, rosnący u jej podnóża i należący niedawno jeszcze do najwspanialszych między dziewiczymi zadrzewieniami Ameryki, jest obecnie tak zepchnięty w wodę, iż drzewa zanurzone w nią korzeniami schną zwolna. Z drugiej strony wody Kolumbii przez pogrążanie się w nich lasu, podnoszą się i rozlewają szeroko, zalewając pola okoliczne. Obok lasu idzie plant kolei żelaznej i góra spycha go również ku rzece, tak, że wkrótce znajdzie się zanurzonym w jej wodach, i to przyczyniło się w obecnych czasach do badań tego fenomenu natury. Według najnowszego i ostatecznie przyjętego badania geologów amerykańskich rzecz się ma tak, że bazaltowa góra stoi na podstawie miękkiego piaskowca, a że ten podmywany jest jeszcze przez wody rzeki, olbrzymia przeto masa bazaltu opuszcza się wciąż niżej, zstępując tym sposobem ku rzece.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc“ dołącza się Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Klemens Junosza Wybór pism i Obrazki Szare przez J. Nitowskiego. — Justynówka, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hoffa (dokończenie). — Ze świata.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

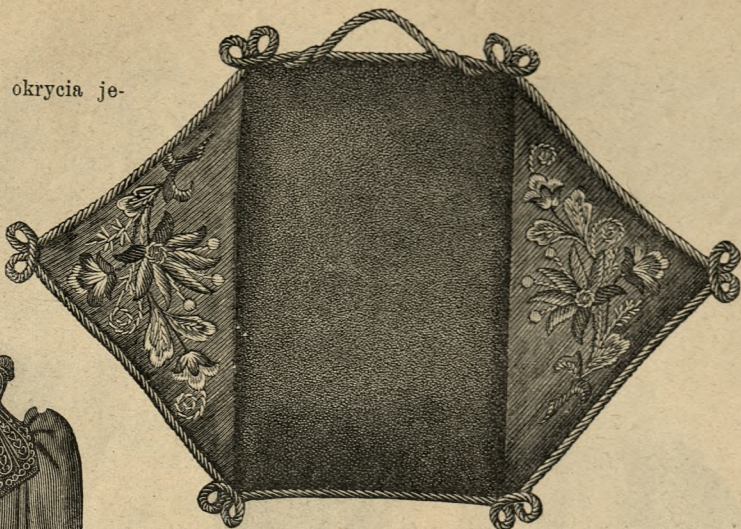
PRZEGLĄD MÓD.

Nowa moda kapeluszy paryżkich. — Mniejsze okrycia jesienne.

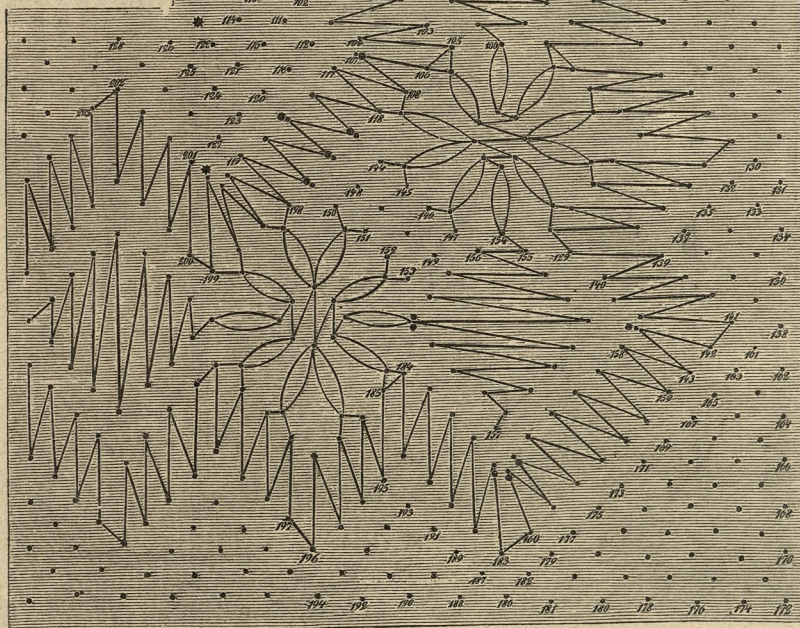
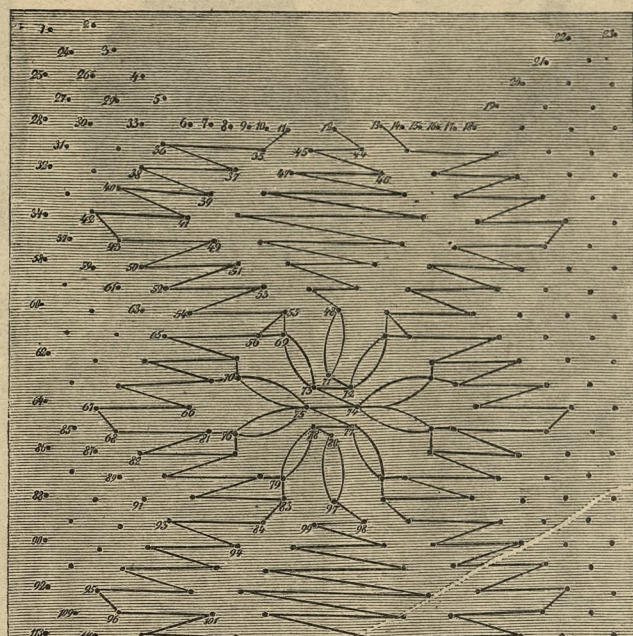
Przyjrzawszy się w przejeździe w pierwszorzędnym wiedeńskim magazynie nadesłanym świeżo z Paryża modelom kapeluszy, śpieszę opisać te małe arcydzieła sztuki, które mnie w zachwyt wprawiły. Wziąwszy w rękę jest to małe nic, na głowie jest najzupełniejszy kapelusz zdobiący twarz i pokrywający głowę. Proszę sobie wystawić małą prostą kańczastą główkę małej dziecinnej pastorki, ale to bardzo małą, mniej więcej 10 cent. średnicy mającą, główkę tę otacza płaskie, proste rondko szerokie na 6 cent. obszyte wążutką wstążeczką, z po za tej wstążeczki naokoło rondka stoją. tak stoją. drobne cieniowane strusie korallowe pióreczka zakręcane równiuteńko ku główce. Zapomniałam powiedzieć, że kapelusz był filcowy koloru mocno różowego korala, a co za filc, takiego filcu nie posiada nawet znana na cały kraj nasza fabryka kapeluszy Veigt'a. W tyle rondko kapelusika było nieco podniesione i podpięte trzema większymi takimiż piórkami, to jeszcze nie koniec. Ton czyli piętno paryżkie kapelusowi nadawały brydy aksamitne korolowe 3 cent. szerokie, przypięte w tyle pod piórkami, które przełożone na krzyż



Nr 2. Tylna część okrycia Nr 9



Nr 1. Poduszka. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 29).



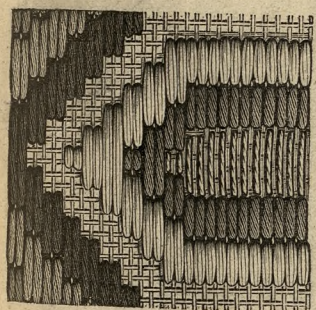
Nr 6. Wzorek na wstawkę Nr 7. Robota klockowa (wielkość oryginalna).

na karku otaczały szyję i wracały ku tyłowi, gdzie przytrzymywały je małe korallowe szpileczki. Widziałam na młodej główce ten śliczny kapelusz i byłam zachwycona. Drugi, wystawcie sobie małą salatereczkę okrągłą w wrębów wginaną 6 razy, taka salatereczka filcowa popielata koloru „Edisson“ przewrócona do góry dnem okrągłym tworzyła kapelusz, brzeg na 2 centim. szerokości był włochaty ciemniejszy, a w każdym zagłębieniu naokoło główki mała jaskółka. Dopelnieniem tej salatereczki, która w rękę była aż śmieszna, a na główce wybornie ujmowała włosy, uwidniała grzywkę, a nawet zasłaniała oczy, były także aksamitne zakładane na przód. Trzeci była kapotka mała jak... nie

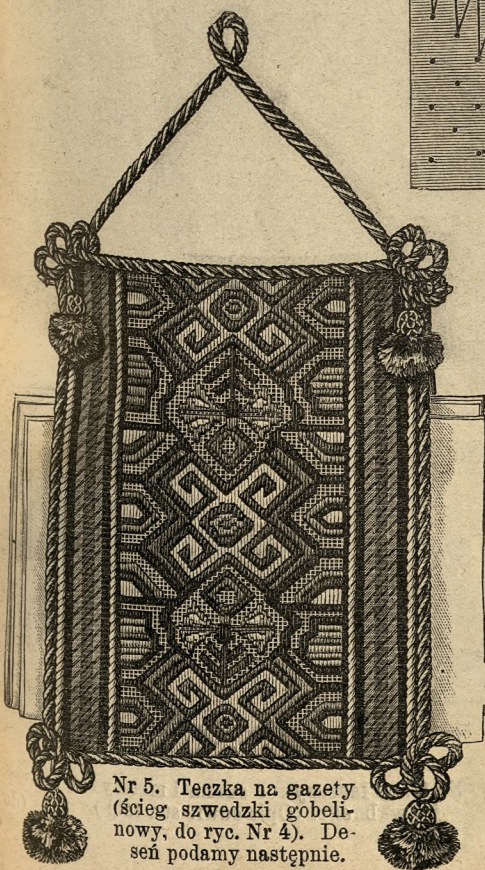


Nr 3. Tylna część płaszczyka Nr 10.

mogę znaleźć porównania, dość, że cała była zrobiona z okrągłych płaskich małych piórek wielkości pięciogroszówkina-szej, ponad tem jakieś skrzydełko, wszystko w jednym brązowym cieniu formowały, fason kapelusza, gdzieś między tem jakaś metalowa ozdoba, i naturalnie owe prawidłowe brydy, bez których prawdziwa elegantka jakiej bądź narodowości nie weźmie kapotki; zaledwie w okrągłych wyswobadza się od brydów i to tylko w upały—jesienią już przypina gazowe lub tiulowe. A co za fantazja w okrągłych, wszystko filc, więc i fabryki nasze będą miały co do roboty, kolory jasne, o czarnych niema i mowy, chyba wiekowe damy będą je nosiły, dla młodych najmłodniejszy kolor zwany „drap“ niby sukno, a jaki to kolor zapytacie? piaskowo-czerwony i wszelkie tegoż odcienie, fason został ten sam co w letnich, całe są zasłane skrzydełkami różnokolorowymi, brzegiem objęte stebnowaną wstążeczką odpowiednią do kapelusza, większe, mniejsze, mniej lub więcej w tyle podniesione, — większy lub mniejszy ptak, przeważnie jednak skrzydłami są ubrane. Dziś już nawet do kapeluszy moda przyjmuje wszelkie kolory prócz tęczy, przypominam sobie ową broszurkę u p. Herzego, cała za-



Nr 4. Część haftu Nr 5 (wielk. oryg.)



Nr 5. Teczka na gazety (ścieg szwedzki gobelinowy, do ryc. Nr 4). Deseń podamy następnie.



Nr 7. Wstawka. Robota klockowa do ozdoby bielizny (do ryc. Nr 6).



Nr 8. Paltot ozdobiony sutaszem
(do ryc. Nr 14). Krój i opis pierw. str.
tabl. Nr III, fig. 18—24.

Nr 9. Okrycie z szewjotu
(do ryc. Nr 2). Krój odwr. str. tabl. Nr.
VIII, fig. 46—53.

Nr 10. Płaszcz z materiału wełnianego „lama” ozdobiony peleryną z pasmanterii (do ryc. Nr 3). Krój i opis pierw. str. tabl.

Nr 11. Płaszcz z sukna i materiału jedwabnego. (Opis odwr. str. tabl.)

Nr 12. Peleryna
(do ryc. Nr 39). Krój i opis
odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 30—39.

Nr 13. Płaszcz jesienny
(do ryc. Nr 4 i 5 w Bl. Nr 39). Kr. i op.
odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 40—45.

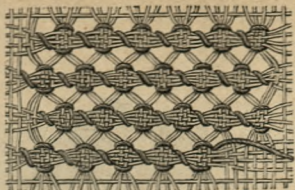
Nr 14. Paltot ozdobiony sutaszem
(do ryc. Nr 8). Krój i opis pierw. str.
tabl. Nr III, fig. 18—24.

Nr 15. Płaszcz z wigoni
(do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 39). Opis
odwr. str. tabl.

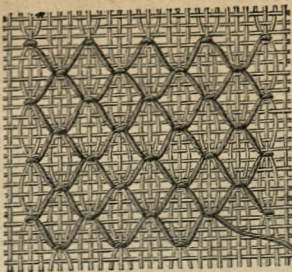
Nr 16. Mantylka z pluszu.
(Opis pierw. str. tabl.)

pełniona piórkami kolorów, w których brakło tylko siedmiu kolorów tęczy. Co do jesien-nych okryć, to owe krótkie po-za biodra peleryny o podniesio-nych ramionach i kołnierzu „à la Médicis“ tak się przyjęły, że je robią z grubych materya-łów wełnianych „ramagé“ lub w duży ciemniejszy deseń rzu-cany. Bardzo wiele naszywają je dżetowemi czarnemi rznięte-mi kamieniami wielkości ko-piejki. O cieplejszych okryciach pomówimy w przyszłym na-szym przeglądzie, gdy wracając z nad brzegów Adryatyku już będę mogła obejrzyć nowe faso-ny, które w każdym razie rę-czę, że ustąpią przywiezionym przez naszego Worth'a (Her-zego).

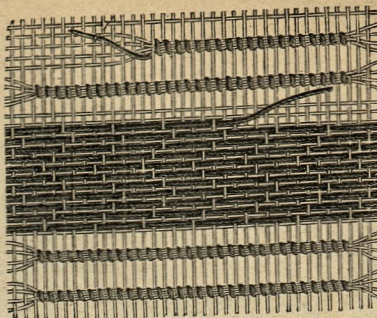
L. C.



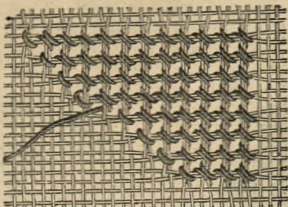
Nr 17. Część haftu do ryc. Nr 22 (powiększ.).



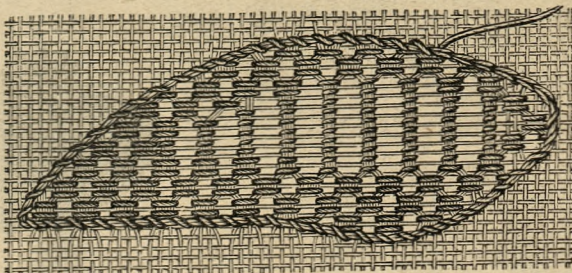
Nr 18. Część haftu do ryc. Nr 22 (powiększona).



Nr 19. Część haftu do ryc. Nr 22 (powiększona).



Nr 20. Część haftu do ryc. Nr 22 (powiększona).



Nr 21. Część haftu do ryc. Nr 22 (powiększona)



Nr 22. Czwarta część haftu na kapy, firanki i t. p. Ścieg płaski, atłaskowy i przezroczysty.

Przepisy gospodarskie.

Wyborna sałata miedzana.

Główkę twardą zielonej sałaty ro-zebrać na liście, obierając starannie zwiędłe. Jedną ćwiartkę czyli czwar-tą część zielonej leśnej główki ka-pusty, poszatować jaknajcieńiej i sparzyć kilkakrotnie mocnym ukro-pem wody, wycisnąć z niej i posolić lekko. Cztery kartofle ugotować w lu-pinach, obrać i pokrajać w cienkie plasterki. Jeden średni ogórek surowy obrać, poszatować jaknajcieńiej, spa-rzyć ukropem. Każdą z tych rzecz-zaprawić oddzielnie oliwą, octem i solą i białym pieprzem. Jednej tylko sałaty nie należy solić bo sflaczeje, ale połać oliwą i octem. Podając uło-żyć na salaterce każdą rzecz z osobna, polewa-jąc zaprawioną oliwą z octem, na stole wymie-szać wszystko razem cukrując, jeżeli kto lubi. Połączenie kartofli z owymi zielonemi sałatami wybornie smakuje. Proporcya na 4 osoby. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa wiśniowa.
2. Potrawa z kur z pieczarkami.
3. Marchewka z grzankami.
4. Schab ze świeżą kapustą.
5. Suflet z jabłek.

UWAGA,

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze. Blusz-czu podać się ma-jących.